

Stanisław Zarzycki  
Sosnowice \*



# Polacy w Hiszpanji.

PAMIĘTNIK

Kajetana Wojciechowskiego.



# Polacy w Hiszpanji.

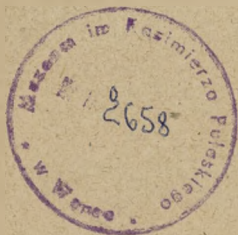
PAMIĘTNIK

Kajetana Wojciechowskiego.



WARSZAWA.  
NAKŁADEM „ZIARNA”

1907



---

Druk E. Nicz i S-ka Nowy-Świat Nr. 70.



POLACY W HISZPANJI  
PAMIĘTNIK  
KAJETANA WOJCIECHOWSKIEGO.

Młodość moją przepędziłem w wojsku.

Dużo rzeczy widziałem, wiele doświadczyłem, i to co spamiętać jestem w stanie, opisać za obowiązek wziąłem sobie. Służąc ciągle w pierwszym pułku ułanów legji Nadwiślańskiej, przezwanym później 7-ym szwoleżerów francuskich, odbyłem z nim kampanię hiszpańską od 1808 do 1812 roku.

Jeżeli biorę pióro do ręki, czynię to, nie miłością własną powodowany, ale chęcią oddania należnej czci pamięci dowódcom i współkolegom moim, którzy na polach bitew zginęli, lub oddawna zmarli, lub w u-

stroniu resztę dni swoich pędzą. Już nie jedno uczone pióro skreśliło historję wojen półwyspu na początku 19-go wieku odbytych, tak pod względem dziejów, jako też strategji; podczas tej długiej kampanji będąc tylko w jednym pułku, z jednego tylko punktu widziałem, i to tylko co widziałem, opisywać pragnę. Francuscy pisarze, skreślając wypadki wielkiej armji francuskiej, jeżeli mało wspominają o nas, niechże mi wolno będzie przypomnieć to, co zapomnianem było.

Pułk w którym służyłem, nazwany przez hiszpanów: „Los Infernos“, słusznie wychwalany w rozkazach dziennych angielskich, któren za bitwę pod Albuhera miał być policzonym w poczet gwardji Napoleona: wielkie sobie imię zrobił w Hiszpanji.

Każden oficer, a nawet każdy żołnierz z tego pułku, gdyby opowiadał swoje zdarzenia, byłyby one zawsze zadziwiające i tak różne, iż możnaby wątpić o rzetelności wypadków. Skład korpusu oficerów tego pułku, po powrocie jego z Włoch w roku 1807, znaleźliśmy pod dowództwem pułkownika Konopki prawdziwie rycerskim.

W gronie takowych, znajdował się pułkownik Klicki, pełen światła oficer, powszechnie poważany i kochany od wszystkich: szefowie szwadronów Kostanecki i Ruttie; ka-

pitanowie: Linkiewicz. Stokowski, Kazimierz Tański, Rybałtowski, Huppet, Skarzyński, Szulc, Porycki, Fijałkowski i Ojrzanowski.

Atoli należy nam przedewszystkiem powiedzieć, że ten pułk, jakkolwiek razem wkroczył do Hiszpanji po powtórnej bitwie pod Tudello w roku 1808, rozdzielony i poprowadzony częściowo przez podpułkownika Klickiego, powtórnie pod Saragosę, przez pułkownika Konopkę do armji południowej, najdłuższy czas należał do korpusu czwartego, którym dowodził generał Sebastjani. Porywany przez generała Lessale, przez generała Merle, to znów przeszedł do marszałka Sulta; przysłany potem marszałkowi Mortie, nakoniec przyłączony do głównej armji będącej pod dowództwem króla hiszpańskiego Józefa Bonapartego, przerzucony na prawy brzeg Tagu przez miasto Toledo, w bitwie pod Almonacid okrył się sławą, i tak z rąk do rąk przechodząc, był raczej kolumną partyzancką, aniżeli pułkiem regularnego wojska.

§ Oddziały tego pułku, przybywające z Francji, chciwie chwywane były przez generałów francuskich do rozlicznych korpusów; z pułkownikiem Kazimierzem Tańskim, około Biskai; ze Stokowskim około Segowji; z Fijałkowskim w Aragonji; z Trzebuchowskim w Hamburgu; z Rybałtowskim w kampanji Rosyj-

skiej w 1812 roku; z Góreckim w Magdeburgu; z Rogojskim we Francji; z Kostaneckim przy wicekrólu włoskim, przy którym także znajdował się w rejteradzie z Moskwy pułkownik Klicki.

A tak gdy jedni walczyli w Hiszpanji, drudzy pod Możajskiem, Kaługą, w przeprawie pod Berezyną i w Niemczech, okrywali się sławą. Jednem słowem, pułk ten uważaćby można za błędnego rycerza!

Atoli główny pułk istniał tam, kędy były chorągwie, które z furgonu pułkownika Konopki, gdzie były schowane, przez nieprzyjaciół wzięte, utraciwszy; straciliśmy zarazem nazwanie 1-go pułku ułanów. A tak błędem jednego ukarani wszyscy, zasług i prac naszych, odrazu utraciliśmy nagrodę.

Godła wojskowe jakimi są sztandary, stają się trofeami zwycięstwa, skoro z orężem w rękę, od mężnie onych broniących, zdobyte zostaną, wtedy ci, którzy je utracą, ohydą okryci, a sława do zwycięzców przechodzi.

Stanowiska w marszu po bitwie pod Ponte-Almaras i po powrocie z Portugalskich granic, naznaczone były we wsi Orias, pułkownik Konopka nie słuchając rozkazów, przeszedł górę do Jovenes, gdzie pułk w nocy otoczony siłą przemagającą, bo przez siedm pułków kawalerji z dwiema baterjami

lekkiej artylerji, przerznął sobie przejście drogą wykutą w skale, tak wąską, że zaledwo cztery rotы walczyć mogły z dwoma pułkami karabinierów, zbitych w masę i po trupach przejście sobie otworzyć.

Odwrót nasz zasłaniał kapitan Stokowski, który z piątą kompanią naszego pułku, utrzymał na wodzy natarczywość pięciu pułków kawalerji z artylerją za nami ciągnących. Takowe przejście można było śmiało nazwać zwycięstwem, gdyby strata niepowetowana, nie była zakrwawiła serc naszych, nieodżałowaną boleścią.

Furgon pułkownika już był przeszedł górę, a jako wóz uważany, żadnej własności pułku niezawierający w sobie, nie zwrócił uwagi; porzucony później na drodze, dostał się w ręce nieprzyjaciela; wszakże tam się znajdowały owe tajemnicze chorągwie, o czym żaden z nas nie wiedział. Stosownie bowiem do wyższych rozkazów, od czasu jak wojna hiszpańska zamienioną została na wojnę gierylasów, czyli partyzancką, sztandary pułkowe pozostać miały w zakładzie pod Madrytem, i tam w istocie zostały proporce w pokrowcach, a chorągwie w skrytości odpięte, nie wiem dlaczego, z nami były wożone w pułkownika furgonie, o czym powtarzam, nikt z nas nie wiedział.

Tym sposobem utraciliśmy mimowolnie godła pułku naszego, utraciliśmy nasze nazwanie, a gdy mimo skarg naszych, które aż do samego cesarza dojść musiały, nie uzyskaliśmy zadosyć uczynienia, do sądu potomności odwołać się musimy, bo kto jest bez wyrzutu, niesprawiedliwego sądu się nie lęka.

Niejedyn może się dziwi, dlaczego żadne pióro nie opisało dotąd szczegółowych dziejów wojska polskiego we Włoszech i Hiszpanji; czemu żadna lutnia nie zaśpiewała nad Tagiem na grobie poległych kolegów moich, czemu zdobycie wawozów Siera-Morena w ręku do bitwy konie prowadzących, a pod ogniem kartaczowym dosiadłych i zdobytych, sławie zdobywców Somosiery nie przyświeca?

Wszystko to dlatego zapewne pokryte milczeniem, że z legjonów i Hiszpanji, drobna tylko szlachta i kmiotki wrócili do domów, a zanosząc do lepianek pod strzechę sławę czynów wojennych, nie przyczynili rodzinom chleba: rąk im tylko użyczyli do uprawy ojczyściej ziemi.

Butwieją zapewne w archiwach ministerjum wojny w Paryżu dowody dzieł rycerskich pułku, w którym miałem zaszczyt służyć; czyli wyjdą kiedy na widok publiczny, nad grobem stojącym weteranom znikome

marności tego świata niechaj zostaną z tej strony mogiły, a na drugą stronę, niechaj towarzyszy spokojne sumienie i przekonanie, że chwila pokoju, po znojach bez owocu, i opieka rządu udzielona staremu żołnierzowi obok żony i wśród dzieci, jest najmilszą nagrodą.

Jeżeli która rodzina będzie chciała wiedzieć co o swoim synie, w tym pamiętniku nie jedno znajdzie wspomnienie, jednak przebaczyć mnie musi, iż pamięcią tylko sięgając po upływie lat tylu, wiele rzeczy pominać, wlele zapomnieć musiałem. Dla własnych dzieci pisałem, bez widoku na przyszłość, bez myśli, iż wspomnienia moje kiedy drukiem ogłoszone zostaną.

Gdyby inaczej być miało, i tak dopnę pożądanego celu; powtarzam; dla dzieci moich pisałem, a wszyscy wszakżeśmy dziećmi jednej rodziny,

---

Przy końcu roku 1806, na odezwę generała Dąbrowskiego, pod różnemi pozorami młodzież galicyjska opuszczała rodziny i do Warszawy biegła; w tej myśli będąc brat mój starszy Wincenty, nadmieniał w domu, że się może na czas długi oddali, towarzysząc przyjacielowi swojemu Czosnowskiemu i innej młodzieży na polowanie, zwykle co

rok odbywane, na granicy węgierskiej, w Karpatach. Miałem podczas jego niebytności pozostać w domu, i całym gospodarstwem zarządzać. Domyśliwszy się jednak celu ich wyprawy, odkryłem im moje życzenia, towarzyszenia im.

Gdy więc przypuszczony zostałem do umowy, postanowiliśmy wybrać się razem w podróż, a ja przyjąłem na siebie rolę służącego jadących dwóch panów na polowanie, gdzie charty i konie powodowe towarzyszyć nam miały. Nadszedł dzień podróży; rzuciwszy się do nóg matki, prosząc o błogosławieństwo, te usłyszałem ze łkaniem wymówione słowa: „Już ja cię synu z tego polowania więcej nie obaczę”. Jakoż to było ostatnie błogosławieństwo.

W dwa tygodnie później znalazłem się w Warszawie i zaciągnąłem się do 1-go pułku ułanów legji Nadwiślańskiej.

W pierwszej kompanji wyborczej, na prawem skrzydle kapral, święcie służył pilnowałem, starszych słuchałem i szanowałem żyłem oszczędnie, ani myśląc co dalej nastąpi.

Kiedy brat Wincenty przyjechał, pieniądze od matki przywiózł i nasuwał projekt czyliby lepiej nie było wrócić do domu; odpowiedziałem mu, iż okryty chyba ranami, dopiero wrócę do domu, uważałem bowiem



stan wojskowy za szkołę doświadczenia, świat za bibliotekę, a ludzi za książki, z którymi żyjąc, będę mógł się nauczyć być człowiekiem.

Miałem w kompanji wielce zacnego i dobrze służbę znającego kapitana Czaplińskiego, dawnego legionistę, porucznika Antoniego Libiszowskiego, podporucznika Moszyńskiego i Karola Libiczowskiego, starszego sierżanta Topolczaniego, któren później w pierwszej bitwie w Hiszpanji pod Malań, w przeprawie przez rzekę Ebro utonął: na koniec Stanisława Osińskiego, z którym w ścisłej ciągle zostawałem przyjaźni. Wkrótce, mój kapitan Czapliński, poznawszy pilność moją w służbie i statek, posunął mnie na sierżanta, a następnie na starszego w miejsce Topolczaniego.

Na rewji pułku odbytej pod Młocinami przez generała Roźnieckiego, trafnie przedstawiłem każdego żołnierza i konia z rynsztunkiem, a na manewrach, gdy generał oficerów, za nieumiejętność w służbie, za front wysłał, ze mną wszystkie poruszenia wojskowe zrobić potrafił, za co uzyskał pochwałę. W tym właśnie czasie, pułkownik Kalinowski wykradł Protowi Potockiemu córkę, i z nią się ożenił: do którego to wykradzenia z kolegami użyty byłem.

Po odbytej rewji, zapewne za grzechy na-

szego pułkownikai pułk za karę wysłany został do Konina, skąd wkrótce wymaszerowaliśmy na Berlin, Potsdam do Westfalji do miasta Minden, niedaleko Kassel. Tam po licznych przeglądach, wybrano sto ludzi z naszego pułku do gwardji Hieronima Bonapartego króla Westfalskiego, do którego to oddziału, oficerowie stopniem niżej, a podoficerowie na żołnierzy, zamieszczeni zostali. Czapliński, jako szef tej gwardji, utrzymał się przy randze majora, Dąbrowski z majora na kapitana przeszedł, Maxymiljan Niezabitowski z kapitana na porucznika, Moszyński i ja mieliśmy wolność wybrać, albo przejść do legji do pułku ułanów na oficerów, albo pozostać w gwardji, w dawnej naszej randze.

Bez wątpienia, byłbym wybrał pierwsze moje przeznaczenie, lecz idąc za namową Czaplińskiego, na moje nieszczęście pozostałem w gwardji, 300 ludzi z naszego pułku wybrano do pułku ułanów legji Nadwiślańskiej, resztę wcielono do piechoty tegoż legjonu, gdzie niektórych oficerów w właściwych rangach umieszczono; pułkownik Kalinowski dostał rangę generała adjutanta, i z wielu oficerami do Polski powrócił a tak ukończyła się od razu egzystencja naszego pułku huzarów.

Nowy mój kapitan Dąbrowski, dawny oficer,

znał służbę polową, ale w garnizonie, żołnierzy w karności utrzymać nie umiał, stąd skargi ustawiczne aż do samego króla dochodziły; że więc z tego powodu Niemcy chcieli się nas pozbyć, cały nasz szwadron odesłanym został do Osnabrück, do pułku ułanów legji Nadwiślańskiej, będącego pod dowództwem pułkownika Konopki.

Tuśmy dopiero poznali, cośmy utracili na przejściu naszym do gwardji Westfalskiej, a szczególnie ja i podoficerowie; policzeni zostaliśmy u ułanów, za prostych żołnierzy.

Pułkownik Konopka, chociaż dworak, uczuł jednak niesprawiedliwość nam wyrządzoną: oficerów częstował, a nas udarował zaszczytem straży sztandarów.

W Osnabrück, trębacze z naszego szwadronu francuzi, poszli do adjutanta Augusta także francuza ze skargą, iż złe mają kwatery; ten kazał mnie do siebie przywołać, ci zaś nic mnie o tem nie powiedziawszy, zraportowali, że miałem odpowiedzieć: taka mu droga do mnie jak mnie do niego". Do żywego urażony francuz, wsadził mnie na odwach, o czem pułkownikowi zdał raport. Na odgłos tej niesprawiedliwości mnie wyrządzonej, zbiegli się koledzy i byliby pewnie rozsiekali francuza, gdybym ich nie był prośbami mojami wstrzymał, a żal i oburzenie nasze utopiliśmy w winie. Tu przy bu-

telce, poznałem się z Piotrem Rogojskim, sierżantem na ówczas od warty; odtąd zaczęła się przyjaźń nasza, wśród dobrej i złej doli niczem nienaruszona, i która trwać będzie do grobowej deski.

Nazajutrz w południe, przy obluzie warty, przyszedł pułkownik Konopka na odwach, a wypytawszy się o wszystkim, mało dawszy poznać o ile podziela krzywdę moją, uwolnił mnie z aresztu, skąd wyszedłszy mocno zachorowałem. Wróciwszy do zdrowia, gdym przyszedł z raportem do kapitana Dąbrowskiego, zastałem u niego wielu oficerów z naszego pułku; ci z braterską łagodnością, a szczególnie gromażor Klicki, długą, i że tak powiem, ojcowską rozmową, uspokoił serce moje.

Przy końcu 1807 roku, wymaszerowaliśmy ku Renowi. W Erfurcie, ubrano mój szwadron w ułańskie mundury, i podzielono go pomiędzy ośm kompanji naszego pułku. Nieszczęście moje chciało, że każda kompania miała starszego sierżanta, wyjąwszy ósmą, w której umieszczony zostałem jako wachmistrz szef kompanji, i do której z całego pułku za karę posyłano żołnierzy. Dobrano nam też stosownego kapitana Szulca, którego w służbie garnizonowej celował gorliwością, w rygorze dla podoficerów był okrutnym,

dla oficerów złośliwym gdyraczem, a dla żołnierzy nieznośną mantyką.

Pułk nasz niedługo zabawiwszy w Erfurcie, przez Moguncję, przebywszy prawie całą Francję, przymaszerował do Bajony.

Jeżeli służba kawalerji, wśród walki, na większe niebezpieczeństwo jest narażoną od piechoty, jeżeli stojąc w assekuracji armat, ginie nieraz beczynnje, z drugiej strony, kiedy piechota z bagnetem w ręku przeważa szalę zwycięstwa, przejście kawalerji po pobojowisku, toż zwycięstwo ustala.

Lecz nie masz nic nieznośniejszego, szczególnie dla oficerów niższej rangi i podoficerów, jak długi kawalerji pochód, a takim było nasze przejście przez Francję. Skoro zmrok padał, trąbiono na koń, pułk się zbierał, całą noc maszerował, i o godzinie 8 lub 9 z rana na kwaterach stawał. Starszyzna ma się rozumieć, podjadłszy, spoczywała, kiedy naszą powinnością było, kompanie rozkwatrować, raporta z odmianami ułożyć: sytuację napisać, żywność i furaz odebrać, rozdać i dopilnować, ażeby na bok nie poszło; potem następowało chędożenie koni, rewizja, czy któren nie odsedniony, podkowy nie zgubił, rynsztunek i broń czy są w całości, a wszystko zrewidowawszy, żołd wypłaciwszy, trzeba było poułatwiać korespondencję, odmiany w kontroli ludzi i koni odpisać nale-

życie, słowem, to ukończywszy, za ledwo człowiek miał czas godzinkę się przespać, gdy pobudka już na koń wzywała.

Znużenie nasze do tego też przychodziło stopnia, iż żołnierz spał nieraz na koniu wśród marszu. Tu mi przychodzi na pamięć zacięty pojedynek zdarzony w naszym pułku w Hiszpanii. Porucznik Stadnicki, tęgi i dziarski chłopak, uważał, że porucznik Linkiewicz, litwin poczciwy już w wieku będący, na starym też koniku, zawsze na swoim miejscu maszerował ale zwykle drzymał.

W chwili, gdy pułk cały był, że tak powiem, snem znużony i wszyscy w najgłębszej maszerowali cichości, Stadnicki wzięwszy konia Linkiewicza za cugle, odprowadził go na bok i w przeciwną stronę obrócił. Widocznie, że i Linkiewicz i koń jego spać musieli, gdy Stadnicki odjechał, pułk bowiem i arjergarda przemaszerowały, a on pozostał na miejscu.

Żart podobny mógł nawet Linkiewicza na wielkie niebezpieczeństwo narazić, bo najczęściej w Hiszpanji gierylasy tuż za arjergardą postępowali, sprzątajac maruderów po drogach. Linkiewicz przebudzony, zrozumiawszy swoje położenie, niedługo wrócił do pułku, a doszedłszy sprawcy figla i zawoławszy go na stronę, srogi z nim bój po nocy rozpoczął. Wpadli wprawdzie oficerowie

na odgłos szczęku pałaszy, lecz już było za późno, Linkiewicz szkaradnie porąbanym został.

Smutniejsze, a nawet wielkiej wagi było zdarzenie w Hiszpanji z podobnych powodów.

Nad rzeką Guadiana, w siedm pułków kawalerji, składaliśmy dywizję, dowodzoną przez generała Merle. Przeszedłszy rzeczona rzekę, zrobiliśmy poruszenie naprzód, a dotarłszy do jazdy hiszpańskiej nad samym świtem, cały dzień strawiliśmy na małych utarczkach i manewrach, dla rozpoznania siły nieprzyjacielskiej, i pozycyi militarnej.

Ku schyłkowi dnia, cofnęliśmy się w tył i co tylko dla pożywienia się i odpoczynku rozłożyliśmy się obozem, nadciągnął czwarty obóz generała Sebastjaniego, w którym znajdowały się pułki księstwa Warszawskiego, pod dowództwem pułkownika księcia Sułkowskiego, dywizja niemiecka, pułk huźarów holenderskich i pułki francuskie.

Skoro, mówię, tylko cośmy się rozpołożyli, wydano rozkaz na koń i znów w to samo miejsce skądżeśmy przyszli, pomaszero waliśmy napowrót. Nasz pułk z pułkiem holendrów składał brygadę pod generałem Perimont już w wieku i doświadczonym oficerze. Utrudzenie i niewywczas były nad-

zwyczajne, lubo zmienialiśmy się z pułkam w awangardzie.

Kolej była na holendrów przypadła, ci ubrani w niebieskie mundury, komendę i język zachowywali narodowe. Nami wtedy dowodził mężny kapitan Huppert, taki bowiem już wtedy był niedostatek sztabs-oficerów, że subalterni wyższych a podoficerowie niższych, zastępować musieli w służbie i w boju.

Pułk huzarów holenderskich, powtarzam szedł w awangardzie, za nim pułki kawalerji francuskiej, dalej nasz pułk ułanów, po którym następowała dywizja polskiej piechoty, piechota francuska, artylerja, bagaże, dalej ciągnął korpus marszałka Wiktora, któren całą tą wyprawą dowodził.

Noc była ciemna, cichość największa zalecona, gdyż zamiarem naszym było, korpus hiszpański rozłokowany we wsi Moncenares, napaść niespodzianie równo ze świtem. Do cichości i spokojnego marszu, kaźden żołnierz w Hiszpanji był przyuczony, tu zaś w nocy, kiedy kawalerja już drugą noc wcale nie spała, a przez cały dzień manewrując i ucierając się z przemagającym w siły nieprzyjacielem, wielce strudzoną była, od generała aż do żołnierza wszystko na koniach spało, a co najgorsza, że awangarda i szpic niemiecka zarówno uległa znużeniu.



Kiedy bowiem marszałek maszerujący na czele piechoty dostrzegł, że kawalerja, zamiast zatrzymać się przed ogrodami oliwnymi, i czekać aż się korpus uszykuje i świtać zacznie, wciąż maszeruje, rozgniewany, posłał adjutanta z rozkazem zatrzymania kolumny. Ten nie mogąc dojechać do czoła kolumny, bo każdy śpiąc, żaden nie ustępował mu z drogi, krzyknął więc przeraźliwie halt!

Na to hasło szpica dała ognia, awangarda mając broń przygotowaną, toż samo uczyniła.

Huzarzy wpadli na pułki francuskie, mniemając, że to kawalerja hiszpańska, francuzi pochwycając za broń, skoczyli na holendrów biorąc ich za pułk szwajcarów, będący na żołdzie hiszpańskim,

Szczeńciem dla nas, Huppert krzyknął: „Polacy na prawo“ i dlatego mało się naszych do tej bitwy wmieszało. Tak pomieszana ogromna kupa kawalerji lecąc w tył, napadała na naszą polską piechotę, która uszykowana w kolumny, przywitała ją rzęsim ogniem. Kawalerja sądząc, że to piechota hiszpańska, atak powtórzyła, i powtórnie z wielką stratą odpartą została.

Inne dywizje już się uszykowały do boju, na przyjęcie napadu nieprzyjacielskiego, lecz artylerja sądząc, że wszystko stracone, za-

częła armaty zagwaźdzać, konie obrzynać, i w tył uciekać, a pomieszawszy się z bagażami, kantyniczkami, mułami, osłami, trudny do opisania nieporządek i nieład sprawiła, któren wschodząca jutrzienka przed oczami naszymi odkrywszy, boleścią każdego z nas serce napełnia.

W Mancenares korpus hiszpański, obozując po utarczce po której się cofnęliśmy, tryumfując niby ze zwycięstwa, nie spodziewał się ułożonego napadu, którego skutki, najkorzystniejsze dla nas wypadki byłyby bez wątpienia przyniosły.

Smutne nasze nocne wydarzenie, nastąpiło z powodu ospałości generała komenderującego awangardą i samej awangardy, przypisane jednak zostało polakom.

Że piechota polska dała ognia do kawalerji, może w części jest winną: uszykowana bowiem w kolumny, z bagnetem w rękę mogła na mniemanego nieprzyjaciela czekać, mogła kilkakrotnie zapytać kto idzie? zwłaszcza iż mniej daleko znużoną była od kawalerji. Mogła łatwiej od nas spostrzedz pomyłkę, tem bardziej, że mniemać należało iż wojsko hiszpańskie, nie odważyłoby się tak śmiało w nocy na nasze kolumny napadać. Porywczość powtarzam piechoty, mogła być ganioną, ale pułk nasz w czem przewinił? W tem chyba, że się na bok usunął

i udziału nie miał w tej nieszczęśliwej bitwie.

Marszałek jednak, kazał nam nie ukontentowanie swoje oświadczyć, i tu się znowu znalazł powód do wstrzymania awansów i nagród zasłużonych oddawna.

Korpus hiszpański, obudzony rżęsimym ogniem z ręcznej broni, tuż pod obozem, w nieładzie mało co mniejszym od naszego, cofnął się na bezpieczne stanowiska, zapomniane czyli odbieżane placówki, dostały nam się w zdobyczy za trudne do wynagrodzenia straty w zabitych i rannych, których liczba do tysiąca dochodziła.

W ciągu naszego utrudniającego przez Francję przemarszu, byliśmy przez mieszkańców, wszędzie jak najmilej przyjmowani; na każdej kwaterze, dawano nam jeść i pić pod dostatkiem.

W Paryżu, postawiono pułk nasz nad Sekwaną w starem mieście, gdzie mojej kompanii, wypadło postawić konie pod murem. Tam, żołnierze chędożąc konie, a my dozorując, obaczyliśmy nieznanomego przechodzącego, i z wielką pilnością nam się przypatrującego. Wtem starsi legioniści poznają w nim Kościuszkę; gdyśmy go powitać chcieli, rzucił się w uboczną ulicę, i znikł nam z oczów.

Na początku „miesiąca” maja 1808 roku,

stanęliśmy w Bajonie, gdzie już zastaliśmy cesarza Napoleona, z cesarzową Józefiną. Tam, pierwszy raz stanęliśmy obozem pod namiotami.

W parę dni po przyjeździe naszym, wystąpił nasz pułk na rewję: liczył do 1200 ludzi. Uszykowali się kompaniami w jeden szereg, pieszo przy koniach. Przyszedł cesarz; a od oficera, do żołnierza, obejrzawszy każdego, już był w środku kompanii piątej, która z pierwszą składała 1-szy szwadron, kiedy dobrze podpiły z czterema szewronami żołnierz, lichą francuszczyzną, podnosząc nogę, zawołał: „Patrz cesarzu! jakie ja mam buty, bez podeszew, a służąc lat 25, ani wiem, wiele nam massy, bo książeczki nie mam, a pułkownik z kwatermistrzem zjadają fundusze“. Tu dopiero cesarz obróciwszy się raptem, zawołał na pułkownika, którego się z braku książeczek wytłómaczył, iż pisać po francusku nie umiemy.

Już więc dalej cesarz nie lustrował; kazał wsiąść na koń i rozpocząć manewra. Z początku, pułkownik i oficerowie, pomieszani niespodziewaną skargą żołnierza, tak potracili głowy, że ewolucje, szły Bóg wie, po jakiemu. Cesarz poznawszy ociężałość w poruszeniach, ze zbyt dużych kolumn pochodzącą, kazał więc uformować plutony po rot 12, a zbywające w tył odesłać; powrócili

też do siebie panowie oficerowie, a cztery szwadrony po 4 plutony każdy, z piątym szwadronem flankierskim odbywając zręcznie obroty wojskowe, zwinnością koni, trafnością i zręcznością w każdej ewolucji, zyskali szczególne zadowolenie cesarskie.

Po manewrach, pułk częstowany został uczta, wydaną dla nas przez szwoleżerów Krasieńskiego, podczas której, ukazał nam się cesarz Napoleon. Okrzykami radości przez nas powitany. Pomimo, iż uczta przez noc całą trwała, tak, iż małą zaledwie można było w obozie zebrać garstkę żołnierzy, dla dania koniom obroku i onych napojenia, połowy jednak wina przygotowanego dla nas, wypić nie byliśmy w stanie. Nazajutrz, udarował cesarz pułk nasz czterdziestą krzyżami Legji honorowej za batalją pod Sz wajnic odbytą w Niemczech w 1806 roku. Były to pierwsze ozdoby wojskowe, udzielone temu pułkowi, którego uformowany we Włoszech, pod dowództwem generała Kniaziewicza, przez pułkownika Aleksandra Roźnieckiego, miał sobie udzielone sztandary, jeszcze za czasów konsulatu Napoleona. Tegoż samego dnia, rozdano żołnierzom, a nawet i oficerom, karabinki i ostre ładunki; poczem, zatrąbiono w marsz, i poprowadzeni zostaliśmy pieszo, każdy konia prowadząc w rękę, w Pirenejskie góry.

Drugiego dnia pochodu, już widzieliśmy hiszpańskich górali na skałach, którzy wykrzykując obcym językiem, do nas strzelali. Wśród śniegów i zimna, przedrapaliśmy się wężkami manowcami aż do Pampeluny. To miasto mocno ufortyfikowane, już zastaliśmy w ręku francuzów, zdobyte fortelem bez wystrzału przez generała Bonet.

Wiadomo, że cesarz Napoleon chciał półwysep, czyli Hiszpanję i Portugalję, bardziej przez przyjęcie formy rządu i konstytucji podobnej do istniejącej we Francji, nakłonić do ścisłych stosunków sąsiedzkich, jak podbić pod swoje panowanie, a przez to, te dwa królestwa od wpływu angielskiego oderwać. Karol IV król hiszpański tem bardziej się temu nie sprzeciwiał planowi, iż książę pokoju Godoi, faworyt królowej, całą tą intrygą kierował. Szczupłe wojsko hiszpańskie wyprowadzone z kraju; zastąpiło wojsko francuskie, z tego powodu generał dywizji Bonet stanął obozem pod Pampe-luną.

Codziennie chodziły oddziały wojska francuskiego po żywność do miasta, skąd wracając wesoły żołnierz francuski, w skokach zręcznych po śniegu, odbywał gonitwy.

Kiedy czas nadszedł zająć fortecę, generał rozkazawszy odbywać żołnierzom zwyczajne gonitwy, zbliżał ich coraz bardziej do

szańców i bramy, za którą dostawszy się, jedni rzucili się na broń straży, która przypatrywała się tym rozrywkom, drudzy zaś opanowali arsenał.

Zbrojne oddziały przyszedłszy im w pomoc, bez wystrzału, stali się panami fortecy, która jako pograniczna, otwierała im wniście do prowincji Nawarry, na zajęcie której, byliśmy wysłani z generałem brygady Lefèvre Desnouettes.

Francuzi osadzili wojskiem główne punkta w Hiszpanji i Portugalji, z czego oburzony naród na króla, domagał się od niego, aby zrzekł się korony na rzecz syna swojego, Ferdynanda VII; co gdy nastąpiło, Ferdynand wjechał do Madrytu. Napoleon przybywszy do Bajony w celu pogodzenia syna z ojcem, obydwóch namowami swojemi tam sprowadził, ale gdy w czasie układów, Ferdynand chciał do Hiszpanji uciekać, uchwycony przez żandarmerję francuską, w głąb Francji wywiezionym został. Króla zaś Karola z żoną i faworytem do Wersalu odesłano. Trzeba było zatem wojska jak najwięcej i jak najrychlej do Hiszpanji posyłać, w pomoc tam będącym korpusom francuskim.

Pomimo jednak tak forsownych marszów, jakieśmy z tego powodu czynić byli przymuszeni, przyszliśmy do Hiszpanji zapóźno.

Rewolucja hiszpańska wspierana przez anglików, podżegana przez księży, rączył postępować krokiem. Już korpus generała Junota przymuszonym został kapitulować w Portugalji \*), a 17,000 wojska pod dowództwem generała Dupont, po nieszczęśliwej bitwie pod Baylen broń złożyło, z którego korpusu, jeden tylko pułk kirasjerów, jakby cudem, przerznąć się do wielkiego księcia Bergu zdołał. Już Murat odwołany do Francji, a sam Józef Bonaparte 6 czerwca 1808 r. obrany królem hiszpańskim, w sześć dni po przybyciu swoim do Madrytu, z wojskiem musiał opuszczać stolicę.

W Pampelunie dozwolono nam kilka dni odpocząć. Patrzącym na tamecznych mieszkańców, śniadej twarzy, w kolistych płaszczach z czarnego lub bernadyńskiego su-

---

\*) Kapitulacja generała Junota, podpisana została w Lisbonie 30 sierpnia 1808 roku. Na mocy jej. cała armja francuska, przewieziona na okrętach angielskich, miała być wylądowaną we Francji z wolnością użycia onej, w dalszym ciągu wojny. Tym sposobem z 29,000 ludzi składających korpus Junota, do 3,000 zginęło. 2,000 umarło, 2,000 nie wylądowało do Francji; z tych bowiem część utonąła, część złożona ze szwajca-



kna, w parcianych trepkach, z głową krymką przykrytą, z cygarem w gębie, zdawało nam się, iż uśmierzenie onych tak nam łatwo przyjdzie, jak z Westfalczykami rozprawa; w Westfalji bowiem zebranych chłopów po karczmach i uzbrojonych w widły, kropiąc płazami, z łatwością do posłuszeństwa władzy znaglić zdołaliśmy. Wyruszywszy z Pampeluny, dnia trzeciego pochodu, ponad brzegiem rzeki Ebro spostrzegliśmy obóz nieprzyjacielski, czyli raczej kupy chłopów, którzy za zbliżeniem się naszym poszli w rozsypkę.

Przeprawiwszy się przez Ebro, zajęliśmy wioskę bezludną. Rozstawiono placówki, pikiety, a pułk jak mógł, tak się rozkwatrował. Ponieważ magazynów nie prowadziliśmy za sobą, każdy musiał myśleć o tem, czem siebie i konia pożywi. Rozbiegła się wiara po wsi. Jedni za ołtarzem w kościele znalazłszy pszenicę, nasypali koniom w żłoby, drudzy dostarczyli wina, kur, wie-

---

rów przeszła do służby angielskiej. Z całej zatem armji, wróciło do Francji 22,000 ludzi, którzy wyszedłszy z kraju rekrutami, bitnemi żołnierzami do niego wrócili. „Historja wojny półwyspu pod Napoleonem“, przez generała Foy.

przowiny, tak więc na pierwszym naszym wojennym noclegu i my i konie nasze nie doznaliśmy głodu. Dnia 7 czerwca nad raniem pikiety dały ognia, zatrąbiono na alarm, aż tu konie nasze z miejsca ruszyć się nie chcą, tak się pochwaciły pszenicą.

Wnet się pokazało, iż pikiety strzeliły do bydła, które się na chorągiewki nasze rzuciło. Z tej więc strony zaspokojonym, radzić nam wypadało, co z naszymi końmi robić. Jedni zaczęli koniom krew puszczać, drudzy uszy nadrzynać, ci dziury w krzyżach świdrować; niewiele to wszystko pomogło, gdyż nam zaraz ze dwieście koni padło na miejscu, reszta prowadzona w rękę, za ledwo krok za krokiem zrobić mogła.

Niedaleko za wsią słychać było mocną kanonadę, a myśmy rozpaczali, że się bez nas bitwa, a może i kampania zakończy. Jakóż wkrótce strzały ucichły, a my nakoniec doleźli do miejsca pobojuwiska. Pod miastem Tudello\*), krzyki i lamenty niewiast i dzieci zwiastowały, że miasto wystawione na rabunek, z którego hiszpanie cofnąwszy się w największym nieładzie, zostawili armat

---

\*) Wojsko hiszpańskie złożone z kilkuset strzelców aragońskich pod dowództwem margrab. Lazan, brata starszego Palafoxa.

kilka i wszystkie bagaże. Gdyby nie ten nie-szczęśliwy wypadek pułku naszego, dla zre-organizowania którego korpus zatrzymać się musiał dni kilka w Tudello, przepłoszywszy powstańców, byłoby może się nam udało opanować miasto Saragossę, której zdobycie później tyle krwi kosztowało!

Odesławszy do Pampeluny rannych i marderów naszych, pokrzepiwszy siły jak tylko można było, ruszyliśmy naprzód, i dnia następnego to jest 13 czerwca, pod wsią Mallan ponad strumieniem Huecha, zastaliśmy generała Palafoxa, któren na czele 9000 gierylasów i 200 regularnej kawalerji, chciał nam drogę zastąpić. Kilka zręcznych ewolucji i śmiały napad naszego szwadronu, którym przewodził kapitan Skarzyński, szybko wystrzały artylerji na pędce z naszych ułanów przez kapitana Huppet zformowanej, rozproszyło nieprzyjaciela, któremu szwadron nasz, przeprawiwszy się przez rzeczkę, z tyłu zaszedł drogę.

Nuż wtedy hiszpanie uciekać za Ebro. a my za nimi gonić do upadłego. Tam rzeź była mordercza, gdyż ani słowa nierozumiejąc ich języka, czy więc prosili o darowanie życia, lub gardzili pardonem, niezważając na nic rozjuszone ułany bez miłosierdzia topili lub kłuli każdego.

Zatrąbiono na odwrót, a przyszedłszy nad

Ebro, rzekę wezbraną, już prawie nie do przebycia znaleźliśmy. Tam oficer nasz Topolczani utonął, a pęd wody tak był silnym że jednego szasera pochwycawszy z konia, wpakował pomiędzy pale pobite dla stawiania siodeł na ryby. Wszyscyśmy tego nieszczęśliwego ratować chcieli, a powiązawszy furażowe postronki, i niemi go opasawszy, pociągnawszy silnie pod wodę, jużemy go byli wyciągnęli z pomiędzy pali, gdy postronki pękły, a nieszczęśliwa ofiara w mgnieniu oka pochłoniętą została.

Kantynierka z pułku naszego, na mule puściła się była wplaw za nami, lecz woda muła pochwycawszy, szybko pędem swoim niosła. Szczęściem iż kantynierka po obydwóch stronach miała kozy napelnione winem; te utrzymując w równowadze muła na wodzie, nie dozwalały mu zatonać.

Napróżno nieszczęśliwa z wzniesionemi rękoma do nieba o ratunek wołała. Wszyscyśmy z brzegu jej niebezpieczeństwo widzieli, żaden ratunku dać nie mogli. Muł jednak instynktem wiedziony, zwolna kierując ku brzegowi, nakoniec z kantynierką i kozami szczęśliwie dopłynął.

Nieprzyjaciel rozbity i na wszystkie ściągany strony, utracił armat kilka, czem uradowani, mniemaliśmy, iż kampania skończona.

Nazajutrz znów hiszpanów uformowanych w kolumny spotkaliśmy pod Alago, nad rzeką Xalon, a powtórnie ich rozbiwszy, wpędziliśmy niedobitki nieprzyjaciół naszych aż do miasta Saragossy. O pół mili od miasta zajęliśmy ogromny klasztor w Molviedro.

W całej tej okolicy ładne domki, otoczone wodą, sztucznie szluzami prowadzoną, świadczyły i o zamożności i o dobrym gęście mieszkańców, a rozkoszne gaje z drzew oliwnych, pomarańczowych i cytrynowych złożone, opasane żyznemi winnicami, zachwycający widok przedstawiały oku. Wpółśród alei gęsto z obu stron rozmaitemi obsadzonej drzewami, szła szosa szeroka wiodąca do bram Saragossy, kiedy niekiedy przerywana, to odnogą rzeki Ebro, to spławnym Aragońskim kanałem, to znów fosami szluzami opatrzonemi, po których mosty z ciosowego kamienia.

Miasto samo położone nad rzeką Ebro, otoczone murem na 10 stóp wysokim, a na 3 grubym, obok niego leży góra wysoka, panująca nad całą okolicą, nazwaną Monte Torrero. W tym samym dniu, w którym zbliżyliśmy się pod mury Saragossy, to jest 16 czerwca, wyłamane bramy stały otworem, oddział nawet flankierów z oficerem Snarskim i Piotrem Rogojskim przebiegł niektóre ulice.

Ludność cała schowana, jakby pod ziemią; mniemaliśmy, iż oczekuje chwili ukorzenia się przed nami, przebłagania zwycięzców.

Ku wieczorowi pułk nasz ruszył kłusem plutonami ku miastu, ale zatrzymawszy się, nie wiem dlaczego przed samą bramą, zdawał się jakby oczekiwać, albo na spodziewaną kapitulację mieszkańców, albo na dalsze rozkazy.

Piechota nieprzyjacielska strudzona, siedziała pod murami, mając obok siebie armaty, naprzeciw naszym wy kierowane działom, w milczeniu przypatrywały się obie strony sobie.

Głucha panowała cichość, a każdy jakby słuchał aż wybije godzina, w której wyroki nieba rozstrzygną o losie niezliczonych familji, a może dwóch wielkich narodów.

Wtem dał się szmer słyszeć za murami, i bramę z wielkim zatrzęsnięto łoskotem. Było to umówionem hasłem, gdyż w tejże samej chwili, grad kul wysypano na nas.

Kawalerja, stojąca pod samemi strzelnicami na wystrzał pistoletowy, za pierwszym ogniem, wiele ucierpiała.

Krzyk rannych, przerażające głosy hiszpanów, napełniały powietrze.

Nie było miejsca do rozwinięcia kolumny plutonami ściśnionej, a morderczo ponownie ogień, pociski z wież i z okien, wtłoczy-

ły nas w pobliżki ogród, z którego jak kto mógł życie unosił. I tak, Rogojski na swoich barkach przyniósł do obozu Snarskiego śmiertelnie rannego.

Za naszym przykładem, artylerja i piechota ratować się musiała, a szczęście dotąd nam się uśmiechające, na ten raz zupełnie nas odstało.

Piechota i artylerja w ogrodach opodał od miasta stanęły, my zaś będąc w tej wyprawie jedyną kawalerją naszego oddziału, zajęliśmy militarną pozycję pod klasztorem Molviedro. Tam trzeba było pilnować się i myśleć o gospodarstwie, bo żadnych magazynów, ani zapasu żywności i furażu nie mieliśmy.

W początkach, dopóki w pobliżkości były stada owiec, zboże i wino, było co jeść i pić, a człowiek dziś niegłodny, o jutrze nie myślał.

Lecz wkrótce służba dla nas coraz się uciążliwszą stawała. Musieliśmy dla całego korpusu dostarczać żywności, o którą coraz trudniej było.

Żołnierz powróciwszy z patrolu, albo z mozołnej za żywnością wyprawy, szedł na wartę, i znów z warty na podobne ekspedycje, gdzie prawie o każden worek słomy, trzeba było walczyć z powstańcami. Wszyscy bowiem mieszkańcy, duchowni i świeccy, szla-

chta i chłopci, starzy i młodzi, uprowadziwszy w niedostępne góry, niewiasty i dzieci, dobytek, żywność i droższe sprzęty, chwycili za oręż i morderczą nam wypowiedzieli walkę.

Wojna hiszpańska podszuczowana przez Anglję, która wszędzie Napoleonowi nieprzyjaciół tworzyć chciała, rozjątrzona przez księży, nie mogła być jak tylko pasmem okrucieństwa i mordów, które opisywać w szczegółach natura się wzdryga.

Nie masz pastwienia się i tortur, którychby się hiszpanie na jeńcach francuskich nie dopuścili, nie masz swawoli i rozpusty, którejby żołnierz francuski nie dopełnił w hiszpanji.

Głód, trudy, niewywcześnie; w nocy zimno, a w dzień tak nieznośny upał, iż na koniach skóra pękała, coraz bardziej wycieńczały się pułki naszego. Umieszczono więc nas obozem niby w dogodniejszym miejscu, rozkazano konie postawić w barakach, bo dłużej upału nie byłyby wytrzymały; to jednak nie zasłoniło nas bynajmniej od pocisku bomb których tysiące dniem i nocą wyrzucano na nas.

Po upływie kilku tygodni, nadciągnęły nam posiłki z Pampeluny, a z niemi artylerja walcowa, złożona z 46 armat ciężkiego kalibru, między którymi było 4 moździerzy i 12 hau-



bie. Generał dywizji Verdier, przyprowadziwszy pod Saragossę 2000 ludzi, jako najstarszy rangą objął komendę nad nami.

Ale przystęp do miasta już nie był tak łatwy, jak w dzień naszego przymarszu. Piechota musiała się podkopywać rowami, a zbliżywszy się do bram miasta z wielką trudnością sypała dla artylerji baterje. Z tych, śmiałemi wycieczkami nieraz nasi wyparci, z bagnetem w ręku walczyć musieli o piędź ziemi, krwią własną zbryzganej.

Po długich przygotowaniach, postanowiono szturm generalny przypuścić, i w tym celu rzucono most na rzece Ebro. Pułk nasz przez ten czas, wiadomemi punktami, raz na tę, drugi raz na przeciwną stronę rzeki, w ciągłych poruszeniach, miał rozkaz przecinać wszelkie komunikację obleżonym, i wstrzymać posiłki na odsiecz Saragossy z Katalonji i Walencji ciągnące.

Wtem, dnia 4 sierpnia o naznaczonej godzinie z rana, ryknęły armaty; pękły podwójne mury miasta, za któremi przy strzelnicach, bohaterski mieszkaniec Saragossy, piersiami swojemi zasłaniał żonę, dzieci i całą własność swoje. Wyłamane bramy otwarte zostały, i już tylko bagnet miał rozstrzygnąć losy zwycięstwa.

Krzyki przeraźliwe idących do szturmujęki rannych, wrzawa, huk broni i pocisków,

płacz i rozpacz niewiast i dzieci, rozlegały się wszędzie. Równo z zachodem słońca, ogień jeszcze nie ustawał, a pułk nasz, przeszedłszy przez most na Ebrze, zajął dawne stanowisko pod klasztorem Molviedro. Ciemność przerwała bój zacięty, strzały tylko armatnie, coraz rzadsze, jeszcze kiedy niekiedy przerywały cichość nocy.

Czas był pogodny, zsiadliśmy z koni, a nim sen zmorzył nasze powieki, rozmawialiśmy z sobą o losie wojny, o kapitulacji miasta, której spodziewaliśmy się co chwila, o nadziei prędkiego końca kampanji.

Równo ze świtem nowy szturm z nowym hałasem przekonał nas, że krew jeszcze strumieniami płynąć będzie; jakoż, tym porządkiem dni kilka przeszło na całodziennych zaciętych i morderczych walkach.

Pomimo, iż pułk nasz w ciągłym był ruchu, niektórzy z nas, w których i ja liczbie byłem, ciekawi, co się w mieście dzieje, zostawiwszy konie przy pułku, zebrawszy się z karabinami w rękę, bez wiedzy starszych i wymknąwszy się z obozu, ruszyli na oślep do miasta.

Przybiegłszy do wyłomów bram i murów, które za warownię mieszkańcom miasta służyły, w tych armaty z naszej i z ich strony opuszczone zastaliśmy, domy zaś i ulice bezludne. To wszystko przekonywało nas,

iż już Saragossa zdobyta, a przecież gęsty ogień trwał ciągle.

Zbliżywszy się do ogromnego gmachu, czyli klasztoru otworem stojącego, gdyśmy tam weszli, dziwny nas widok uderzył. Sprzęty i świętości kościelne porzrzucone, tu ciemność, tam ogień, tu pustka, tam przebiegające istoty, jakby widma, jedne ubrane w ornaty inne obnażone, te śpiewające, owe krzyki wydające, te zalewające się łzami, te skaczące, a wszystkie niewiasty po większej części młode i piękne.

Spojrzelśmy po sobie zdziwieni, tem bardziej, że tych nieszczęśliwych istot było kilkaset. Wtem nadbiegł francuz i opowiedział: „że to są ofiary obłąkane, które w czasie oblężenia miasta dostały warjacji ze strachu, a do tego klasztoru spędzone, po pierwszym, szturmie stały się naszą zdobyczą; że podobnych klasztorów już dużo zdobyto, ale do zdobycia nierównie więcej pozostaje; że z ulicy na ulicę są barykady, worki z wełną i piaskiem, wszędzie gotowe do ułożenia w oka mgnieniu baterij dla artylerji, że strzelnice dla oblężonych w oknach, dachach, murach, wieżach porobione, z których kamieniami nawet oblegających rażą; że już po kilka razy piechota nasza dostawała się na rynek miasta, ale zewsząd odparta cofać się musiała; że jeżeli nasi zdobędą dom

z prawej strony, to go znów hiszpanie z lewej strony odbiorą; że jednym słowem, tego miasta ani zdobyć ani spalić niepodobna; że te dni kilka szturmowały nasze siły, spotrzebowały amunicję, że trudy są do niewytrzymania, a strata w zabitych i rannych z naszej strony, jest wielka i ciągła, kiedy z ich strony prawie żadna“.

Wyszedszy z owego gmachu, weszliśmy do środka miasta, a przebiegając ulice, przekonaliśmy się o prawdzie relacji francuza. Nie wiedzieć skąd, kule i kamienie na nas spadały; przemknawszy się dalej napotkaliśmy naszą polską piechotę nadwiślańskiego legjonu, a pozdrowiwszy się nawzajem, do końca dnia walczyliśmy jedni obok drugich.

Był wielki klasztor, w którym nasi gotowali, piekli, inni jedli i pili, gdy drudzy z przyległego domu szturmowali do obwarowanego klasztoru na przeciwnej stronie ulicy stojącego, opasanego wysokim murem, prowadzącym do poprzecznej ulicy, kędy był front kościoła, do małego placu obrócony.

Rozpoznawszy skąd ogień ku nam skierowano, obrałem sobie nieznacznie okienko, a zakrywszy kilkunastu żołnierzy za ścianą, kazałem broń nabijać, sobie podawać, a sam

koniec tylko lufy wytknąwszy bez miłosierdzia hiszpanów kropilem.

Po niejakiem czasie gdy ogień nieprzyjacielski ustawać zaczął, zbiegliśmy na dół, a stamtąd na ulicę, z przedsięwzięciem zdobycia klasztoru. Przywitani gradem kul i kamieni, zaledwo się za nasz mur schronić zdążyliśmy. Wróciwszy do mego okienka nanowo zacząłem strzelać w kupę hiszpanów przed klasztorem stojących.

Gdy strzały moje trafnie wymierzone, zamieszanie sprawiły, umyśliłem powtórna zrobić wycieczkę, lecz w tej kulami osypany, straciwszy na pobojuwisku trzecią część mojej czapki, i dostawszy w twarz kontuzję, powtórnie cofnąć się przymuszony zostałem. Gdy już słońce ku zachodowi się nachylało, twarz mi dolegać zaczęła; zresztą przypomniawszy sobie, że od rana jestem nie na właściwem miejscu, takowe zaś uchybienie surową za sobą karę pociąga, ostudzony w zapale, zwłaszcza niewidząc żadnego towarzysza mojej wyprawy, ruszyłem na powrót do obozu naszego.

Przebiegającego na most, zdybał mnie kapitan z naszego pułku Maksymiljan Niezabittowski, a zobaczywszy z opuchniętą twarzą, zasmolonego prochem, z poszarpaną czapką na głowie: „Chłopcze, czy z piekła powracasz?“ zawołał.



Od niego dowiedziałem się, iż szwadron mój odmaszerował na przeciwny brzeg Ebru, przeszedł rzekę wplaw, że kapitan Szulc, moją nieobecność meldując pułkownikowi, zaraportował, iż wiedziony nadzieją rabunku, szeregi opuściłem. Chciał nawet konia mego zabrać z sobą, którego zostawił tylko na prośbę oficerów,

Dręczony do żywego, pobiegłem do konia, chcąc natychmiast ruszyć za komendą, ale zawołany do pułkownika, opowiadaniem mojem zaspokoivszy ciekawość oficerów, a przerażającą moją postawą z czapką poszarpaną, pobudziwszy wszystkich do śmiechu, uwolniony od kary, pośpieszyłem za moją kompanią, którą dopiero aż nazajutrz dopeździć zdołałem.

Równy ze dniem napadliśmy na konwój amunicji, żywności i pieniędzy, z Katalonji do Saragossy wysłany; ten zabrawszy szczęśliwie, powróciliśmy do obozu.

Tymczasem szturm do Saragossy trwał ciągle, aż w dni kilka po zachodzie słońca zawołano: na koń; a skoro pułk wystąpił, placówki pościągał, i do marszu się szykował, kilka eksplozji w Saragossie słyszeć się nam dały. Wkrótce dowiedzieliśmy się, że minami wysadzone zostały w powietrze głównejsze klasztory, i ów z nieszczęśliwymi obłąkanami niewiastami

15 sierpnia ciężkie działa i moździerze za-topiwszy, zapaliwszy obozy, przy takiej iluminacji opuściliśmy to miasto bohaterskie, trudne do obliczenia straty w ludziach, koniach i ryszunkach poniosłszy.

Wiadomość o zbliżaniu się wojska hiszpańskiego, pod dowództwem don Feliksa de San Marco, dążącego na odsiecz Saragossie, a zarazem opuszczenie Madrytu przez króla Józefa, spowodowały zapewne odstąpienie nasze od szturmów, spowodowały, żeśmy zwycięstwo drogo krwią okupione, zostawić przymuszeni byli generałowi Palafox (\*), temu nieśmiertelnemu obrońcy Saragossy! Ten generał, będąc rannym pierwszego dnia zbliżenia się naszego, kazał się zanieść do owej otworzonej bramy, która z rozkazu jego zatrzaśnięta, stała się hasłem morderczego boju, a zarazem ocalenia naówczas miasta. Saragossa powtórnie przez marszałka Moncey ściśniona, wytrzymała rok oblężenia, w gruzy zmieniona została.

Przejeżdżałem tamtędy we trzy lata później, gdy ranny z Rogojskim powracał do Francji. Pałace, kościoły, klasztory, były

---

(\*) Don Józef Revollo de Palafox, 29 maja 1808 r., ogłoszony kapitanem generalnym Prowincji.

w gruzach; napróżno szukałem owych ogrodów, domów, spacerów, kanałów i mostów, których wspaniałością zdumiewałem się niegdyś; z dawnej wielkości nic nie pozostało, prócz owej ku francuzom nienawiści bez granic, którą konając, hiszpanie, zamiast błogosławieństwa, dzieciom przekazywali!

15 sierpnia stanęliśmy w Alagon, 16 w Mallan, 17 w Tudello. Nad Ebrem postawiono pułk nasz obozem. Ustawiczne deszcze, pod tę porę jesienną zwykle padające w Hiszpanji, a do tego dokuczliwe zimno, dało nam się we znaki.

Konie, ciągle stojąc w mokrem i w glinie, podostawały grudy, my zaś w barakach czyli raczej budach, wycierpieliśmy dużo od robactwa, a szczególnie od szcurów, które nam na chwilę spocząć nie dozwalały.

Tu jakoby na nasze nieszczęście, przybyło do nas z pułku Krasieńskiego sześciu, na oficerów: Stadnicki, Ranowski, Sawicki, Fadzowski, Kadłubicki i Mikołajewski. Taki to był los pułku naszego, iż ciągle przysyłano nam z boku oficerów, którzy nam z przeda nosa zabierali stopnie, na któreśmy, nieraz krwi naszej okupem zasłużyli I tak: po pułkowniku Konopce, przysyłano nam na dowódcę Dębieńskiego, po nim Stokowskiego z gwardji Krasieńskiego, a nakoniec Kazimierza Tańskiego, któren w roku 1808 opuści-



wszy nasz pułk w randze kapitana, w roku 1813 na pułkownika powrócił. Z niższemi rangami podobnie się działo, a dla nas awansu nie było, gdyż nam nikt sprawiedliwości nie oddawał, prócz jednych hiszpanów, którzy się nieraz spotykali z ostrzem lanc naszych.

Generałowie St. Marco, Lamas, Varsaye i Palafoks, po naszym odstąpieniu od oblężenia Saragossy, połączywszy się z sobą, przeciwko nam wystąpili, i około Tudelli stanowiska zajęli. Jakie było rozpołożenie i poruszenia sił wzajemnych, nie jest to celem pisma mojego. Opisane są przez generała Foy, i przez pana Rocca oficera od huzarów. Temu ostatniemu nie musiały się nasze ułany podobać, albo też stanęły mu solą w oku; opiewając bowiem czyny swego pułku, z którym składaliśmy jedną brygadę, naszemu sprawiedliwości nie oddaje.

Pierwszych dni listopada 1808 roku cesarz Napoleon, przybywszy do Hiszpanji, objął dowództwo nad całą armią; 23 tegoż samego miesiąca nastąpiła walna bitwa pod Tudellą, której skutkiem było rozbitcie armji hiszpańskiej, 30 armat zabranych, prócz wielkiej liczby zabitych i rannych, i do niewoli wziętych. Po bitwie, generał Palafoks z resztkami wojska i powstańcami wrócił do Saragossy, gdzie powtórnie otoczony, rok cały

obłężenia wytrzymał. Korpusy zaś pod dowództwem marszałka Lannes, i kawalerja generała Lefevre Desnouettes, dostały rozkaz ścigania jenerała Castanios, umykającego przez Guadalaxara ku Madrytowi.

Po tej to bitwie pod Tudellą, marszałek Lannes zwerbował do siebie naszego gromażora Klickiego, któren "wziąwszy z sobą poruczników Ojrzanowskiego i Bogusławskiego \*); uformował szwadron, z którym się wnet od naszego pułku oddzielił, .

Od tego czasu szwadron ten pod dzielnym swoim dowódcą, który wnet potem pułkownikiem został, odrębnie od nas, odbył całą kampanię hiszpańską, i nieraz okrył się sławą.

Forsowneni marszami ścigając Castaniosa, napadaliśmy nieraz na obozy hiszpanów, którzy, zostawiając czasami przy ogniskach kociołki z pokarmem, zaledwie sami unosili życie. 28 listopada znieśliśmy pod Burviedro tylną straż armji nieprzyjacielskiej, skąd przymańzerowaliśmy do miasta Calatajut. W mieście stanęliśmy jakkolwiek; mieszkańcy bowiem po większej części wszystko zostawiwszy w domach, poszli za swoją armją.

---

\*) Do tego szwadronu dostali się potem; kapitan Rybałtowski, i Luzignan.

Zaprowadzono więc warty, i przestrzegano nadużyć.

Wszakże za nadejściem piechoty francuskiej, cały porządek w kąt poszedł. Mieszkania prywatnych i świątynie Pańskie, stojąc otworem, wystawione zostały na łupieństwo rozhukanego żołdactwa. Tam żołnierze odurzeni trunkiem, poprzebierani w kościelne szaty, szydząc z obrządków własnej wiary, przy pochodniach i świetle, nosili po ulicach święte naczynia napełnione winem, a obchodząc z nimi cały obóz, wyśpiewywali pieśni wszeteczne. Na wspomnienie tych zdrożności, zdzierstwa, i gwałtów, dreszcz i smutek tłoczą serce moje, w których jeżeli udziału nie miałem, to jednak świadkiem ich byłem.

I jakże naród hiszpański nie miał mieć pobudki do tej nieprześląganej zemsty, którą zaprzysiągł francuzom? Nie mając zawsze sił dostatecznych do walczenia w otwartem polu, postronnie i pokryjomu mordował ofiary winne czy niewinne, pastwiąc się niemiłosiernie nad bezbronnymi. Obrzynali uszy, nosy, wyłupywali oczy, wyciągali wnętrzności, wyparali żyły; a pomimo tych okrucieństw, których nikt pochwalić nie może, wyznać jednak należy, iż francuzi, bezbożnością, rozpustą i swawolą swoją wówczas zasłużyli na nie. Z Calatajut wyruszyliśmy

ku Madrytowi, w czasie którego marszu, pułk nasz prowadził przednią straż całej armji.

W okolicy Gwadalaxara, w bliskości Alcala, o trzy mile od Madrytu, w jednej wiosce rozkwaterowano naszą dywizję lekkiej kawalerji, zapowiadawszy, iż tam odbędziemy dniówkę, podczas której rozkazano nam broń i cały rynsztunek oazyścić. Nagle zatrąbiono na koń, dywizja się zebrała, a gdy z kompanji mojej brakło dwóch żołnierzy, kapitan Szulc do wściekłości rozżarty, kazał mi tych żołnierzów szukać. Napróżno przeleciawszy wieś całą, wypadłem na drugą stronę, z której rozchodziły się cztery drogi, a każdą znać było, że kawalerja maszerowała.

Na los więc szczęścia puściłem się jedną, i już pod wieczór dobiegłem do placówki francuskich huzarów. Oficer mnie upewnił, że dnia jutrzejszego zejdziemy się z pułkiem pod Madrytem, gdzie Napoleon miał robić przegląd naszej kawalerji. Jakoż nazajutrz ze wszystkich stron sypało się wojsko ku Madrytowi, przy którym i ja też maszerowałem.

Pod madrytem spotkałem pułk Krasieńskiego. Żem zdybał znajomych, czas mi prędko przeszedł, a tymczasem pułk mój przez Madryt po przeglądzie przemaszerował. Wszakże dano mi informację, że z Madrytu poszedł do Aranjes o mil 7 odległości. Ruszyłem

nazajutrz w dalszą drogę, i gdy nad wieczór znów napotkałem oddziały pułku Kraśńskiego, te mnie upewniły, że w tej stronie mego pułku nie masz; doniosły zarazem, iż kilku z niego żołnierzy i bagaże oficerskie, równie jako i ja zbłąkane, znajdują się w ich koszarach. Tam zaprowadzony na nocleg, staropolską gościnność znalazłem. Nazajutrz zawołany byłem do marszałka Bessieres; ten rozkazał mi się zatrzymać przez dzień cały: co spełniwszy, odebrałem od niego ekspedycję do marszałka Wiktora.

Zabrawszy z sobą żołnierzy z mojego pułku, ruszyliśmy do Toledo, zkad znów wysłany zostałem do miasta Talavera, gdzie miałem z pewnością pułk zastać. Przez trzy dni maszerując krajem, gdzieśmy się jeszcze mieszkańcom nie byli dali we znaki, wszędzie grzecznie przyjmowani, opatrzeni byliśmy w żywność i furaż dla koni. W Talavera zastałem generała Milhaut z dywizją dragonów, która wybiegła na widok horągiewek polskich i rozebrała pomiędzy siebie moją komendę.

Mnie tyle tylko zostawili czasu, abym generałowi oddał depesze które wielce pożądane były, zawierały bowiem patenta na ordery i awanse wojskowe. Przyjęty więc i częstowany z największą uprzejmością, za-

bawiwszy dni kilka, umyśliłem wyruszyć celem dalszego szukania mojego pułku.

Przed wyjazdem, prosiłem generała Milhaut, ażeby dał rozkaz, gdzie mam mojego pułku szukać, i wyraził, że użyty byłem do rozwożenia ekspedycji; co otrzymawszy w dalszą puściłem się drogę.

Jadąc ku Madrytowi, spostrzegłem nakoniec chorągiewki nasze; radość i obawa naprzemian mną miotały; nie wiedziałem bowiem, jak nieobecność moja uważaną będzie.

Połączywszy się z moją kompanją, weszliśmy razem do miasta, gdzie dostawszy kwaterę w pustym klasztorze po zakonnikach, konie umieściliśmy pod wystawami. Tam się od kolegów dowiedziałem, iż kapitan Szulc, zameldował pułkownikowi żem dezertował; dodali, iż mnie bardzo żałuje: że bowiem prawą jego ręką byłem, po mojem oddaleniu się uczuł dopiero, wiele we mnie utracił. Deszcz padał gwałtowny; wlaższy do ciemnej ciupy, rzuciłem się na ziemię i smaczno zasnąłem. Obudziwszy się nad rankiem, obaczyłem mnóstwo trumien wkoło siebie porozrzucanych, z których powyrzucone ciała zakonnic za posłanie mi służyły.

Poszedłem zameldować się kapitanowi i zamiast okropnej bury, której się spodziewałem, przyjął mnie starzec ze łzami

w oczach. Rozpytawszy się o wszystko, zaprowadził mnie do pułkownika, przed którym wytlómaczono mnie, i całą winę zrzucono na marszałków, którzy mnie za kurjera użyli.

Stamtąd udałem się do adjutanta Moszyńskiego, który mnie uściskawszy serdecznie, oświadczył, iż ledwo uprosić pułkownika zdołał, że mnie dotąd za deztertera nie ogłosili i pod sąd wojenny nie oddali.

Od tej epoki kapitan Szulc stał się prawdziwym ojcem dla mnie; nie taił przywiązania swojego, wszędzie wychwalał, i ciągle durzył pułkownikowi głowę, aby mnie do awansu przedstawił.

Niedługo potem, dywizja nasza, będąca podówczas pod dowództwem generała Lassale, ruszyła pod Ponte-Almaras ku granicy Portugalskiej. W przechodzie naszym, mieszkańcy jak zwykle umykali z domów, my zaś zajmowali ulice pułkami, a kompanjami domy, które zamknięte zastając, drzwi wylamywać przychodziło, a nie zastawszy częstokroć szukanej żywności, gdzieindziej szukać jej musieliśmy.

Do zajętej wsi wpadł Rogojski, obejrzał domy, i po kompanję pobiegł, a ja idąc z drugiej strony, na tych samych domach ponapisywałem n-ra naszej kompanji.

Gdy wnet potem przed jeden dom razem

z ludźmi przyszedłem, żywe spory zaczęły się między nami; mnie broniły napisane numera, Rogojskiego rzetelna -prawda, że on wprzód był i obrał te domy, o czym ja nie wiedziałem. Od słowa do słowa przyszło do tego, iż mój kapitan rozjuszony porwał się do pałasza na Rogojskiego, którego byłby niezawodnie porąbał, gdy ten nie był umknął, z czego korzystając zająłem kwatery.

Po kilku marszach stanęliśmy w wiosce bezludnej, gdzie znaleźliśmy trzody świń wypasionych żołądźmi w pobliskich lasach dębowych, i tak tłustych, iż gdy przy braku chleba, soli i wina, najedli się ich mięsem żołnierze, dyarya w obozie naszym panować zaczęła. Lecz wkrótce stamtąd poprowadził nas dzielny nasz dowódca Lassale, pod Ponte-Almaras. Tam dopiero połączyliśmy się po raz pierwszy z 4, 7, i 9 półkiem piechoty Księstwa Warszawskiego.

Marszałek Lefèvre, pod którego rozkazami byliśmy, korzystając z mocnej pozycji, jaką mieliśmy na wysokich nadbrzeżach Tagu, na drugiej stronie którego stało w dolinie wojsko hiszpańskie, wysłał generała Sebastianiego z dywizją, ażeby o mil kilka poniżej przeszedłszy rzekę, zajął na umówioną godzinę tył nieprzyjacielowi.

Tymczasem gdy czwarty pułk piechoty



polskiej, dostał rozkaz przejścia mostu kamiennego, w dwóch miejscach przeciętego przez hiszpanów, Franciszek Młokosiewicz na czele 1-ej kompanji grenadjerów tegoż pułku, przeszedł most rzeczony, pod karta-czowym ogniem; za nim przeszła reszta piechoty, która uformowawszy linję bojową, rzuciła się na nieprzyjacielskie armaty.

Pułk nasz przez ten czas przebywszy rzekę wpław, i z boku uderzywszy na hiszpanów, rozstrzygnął wygraną. Z placu bitwy, noga jedna nieprzyjacielska nie byłaby uszła, gdyby generał Sebastiani, trudną przeprawą zatrzymany w górach, nie był się spóźnił o 24 godzin. Dwadzieścia kilka armat, trzy tysiące niewolnika i cały obóz nieprzyjacielski, dostały nam się w zdobyczy.

Dnia czwartego po bitwie pod Ponte-Almaras, pędząc nieprzyjaciela, dobiegliśmy aż do niasta Trahillo w Portugalji. Przecięci przez anglików, przez kilka tygodni żadnej komunikacji z wielką armją nie mieliśmy. Przymuszeni przedzierać się przez góry Leonu, gdzieśmy dla artylerji naszej drogę robić musieli, dostaliśmy się nakoniec do Avilla. Tam dopiero dowiedzieliśmy się, iż cesarz Napoleon wypowiedziawszy wojnę Austriji, już opuścił Hiszpanję. Z Avilla ruszyliśmy na Escorial, Madryt, do Toledo.

W tem to przejściu, odwołanym został

marszałek Lefèvre do Francji, a generał Sebastiani objął komendę czwartego korpusu. D. 20 marca 1809 r., korpus nasz wyruszył z Toledo ku Sierra-Morena. Piechota i bateria artylerji stanęły na noc we wsi Morra. Stanowisko nasze było o milę stamtąd we wsi Orias pod wysoką górą, przez którą często posuwaliśmy się do wsi Jovenes i tam nakoniec pewnego dnia na nocleg stanęli.

Była to pozycja dla kawalerji ze wszechmiar niebezpieczna, albowiem jedna droga prowadziła w zygzak przez górę, z której ani na prawo, gdyż niebotyczne wisiały skały nad głową, ani na lewo, bo przepaść pod nogami była, kroku w bok zrobić nie można było, i jednak tą jedyną drogą pozostawała nam rejterada, na przypadek napadu nieprzyjaciela.

Wieczór rozlokowano pułk po zajezdnych oberżach kompanjami. Piątą kompanję postawiono pod murem kościoła. Na każdej zaś drodze od wsi idącej, porozstawiano pikiety, kantynierki, bagaże, furgon pułkownika rozkwaterowano, jak gdyby o nieprzyjacielu ani słyszeć było.

Służba z kolei wypadła na mojego kapitana Szulca, który w tej mierze gorliwością celował.

Noc była cicha; placówki przy objazdach rontu meldowały, że psy ciągle czekały

w przyległych kortychach czyli folwarkach, że słyhać jakieś poruszenie i jakoby tentent koni.

To wszystko zaraportowano pułkownikowi, ale ten na to żadnej nie zwrócił uwagi, utrzymując, że nieprzyjaciel jest jeszcze o parę dni marszu nad rzeką Gvadiana. Po północy mgła okryła doliny, a skoro rozwidniało, po otrąbieniu pubudki, dano znak do rozkulbaczenia i chędożenia koni. Gdy tem zajęli się żołnierze, a oficerowie po kwaterych wygodnie odpoczywali, pikiety dały ognia, placówki spędzone zostały, a piąta kompanja pędem za wieś wyskoczyła. Już się ta przy gęstych wystrzałach spotykała, nimeśmy stanęli na placu przy wnijsciu do wsi, a uformowane bagaże po za frontem, drogą do Orias w górę ruszyły. Wtem nadjechał przed pułk pułkownik Konopka, szef Ruttie i Kostanecki; mgła się też podniosła, i ujrzełiśmy frontem uszykowaną liczną nieprzyjacielską kawalerję, z dwiema baterjami lekkiej artylerji. Starszyzna postanowiła rejteradę: zakomenderowano za broń, trzema w lewo zajdź, naprzód, stępo marsz!

Kompania więc 8-ma, w której ja byłem jeszcze wachmistrzem szefem, szła na czele kolumny, przed którą pułkownik z szefem Ruttie maszerował. Z tyłu za nimi nieprzyjaciel silnie nacierał, zrabano nam ofi-

cera od warty Stawiarskiego, padło już znacznie żołnierzy, tylna jednak straż nasza silny ciągle dawała odpór.

Zaledwie uszliśmy stając pod górę, gdyśmy ujrzeli nasze bagaże w cwał ku nam nazad uinykające, a za niemi z dobytymi pałaszami sławny pułk karabinierów hiszpańskich, Reales zwanych, któren całą nam drogę, jak była szeroką zastąpił, na bok zaś, jakem wyżej powiedział, zjechać nie było podobna. Otoczeni zewsząd, mieliśmy bowiem dwa pułki kawalerji przed sobą, a pięć z tyłu; zdawało się hiszpanom, iż z tej przeprawy noga nasza nie wyjdzie, i pułk bez wystrzału poddać się przymuszonym będzie. Lecz nie tak łatwa była z nami sprawa.

Pułk zatrzymał się na chwilę, a pułkownik dobywszy pałasza „naprzód dzieci“, zawołał; wzięwszy zatem lance do ataku, krzyknęliśmy hurra! i uderzyliśmy na kolumny hiszpańskie. Przewaga w tej chwili była na naszą stronę, bo pałasz jakkolwiek długi, naprzeciw dzidy słabą był tyłką bronią. Padli oficerowie hiszpańscy na czele kolumny będący. Kłóiliśmy i rąbali następnych, a pułk posuwając się za nami, popychał nas naprzód. Każdy krzyczał, a jeden drugiemu pomocy nieść nie mógł. Bój trwał prawie w miejscu, trupy i ranni zawalali drogę, nieprzyjaciel ciśniony obrócić się nie był

w stanie; tym sposobem przez czas niejaki, ani oni uciekać, ani my iść naprzód nie mogliśmy. Walka zatem toczyła się między frontami dwóch kolumn.

Hiszpanie spostrzegłszy iż bój nie ustaje, rozumiejąc, że siły nasze daleko mocniejsze jak były w istocie, zaczęli, się wahać; tylna straż postrachem przejęta, zaczęła konie odwracać i uciekać, przednia zaś słaby nam tylko już opór dając, z koni złażąc, lub się na górę drapała, lub się w przepaść rzucała. Po raz drugi krzyknęliśmy hura, a dobywszy sił ostatka, z wściekłością rzuciliśmy się na nieprzyjaciela; droga też stała się wolniejszą, najprzód kłusem, a później ruszyliśmy galopem.

Wkrótce pułkownik Konopka z szefem Ruttie i z kilkunastu ułanami, w której liczbie i ja byłem, tak się zapędzili, żeśmy wnet pułk nasz z oczów stracili. Z przykrej góry zjeżdżającemu pułkownikowi spadła z głowy czapka; pierwszy za nim dojeżdżając, pomimo że z góry gęste sypały się strzały, zsiadłem z konia, pochwyciłem czapkę, lecz wsiadając napowrót kulbaka mi się przekręciła. Niebezpieczeństwo dodało zręczności; skoczywszy zatem na mojego rumaka, dognałem pułkownika już na dole. Oddając mu czapkę spostrzegłem, że mu łzy z oczów płynęły, i kiedym mu przed-

stawił iż niebezpieczeństwo minęło, a pułk ma rejteradę otwartą: „Wszystko straciłem“ odpowiedział z rozczuleniem.

Wtem spostrzegłem przed nami, jak karabinier hiszpański trzyma drugiego konia, podczas gdy siodło upina; skoczyłem więc do niego, pewny, że go w niewolę wezmę, lecz on dosiadłszy konia „Adios camarada“ do kolegi zawołał, i pędem wiatru ruszył do wsi Orias.

Jużem tuż za nim dojeżdżał krzycząc na niego aby się poddał, gdy pod samą wsią, spojrzawszy z pagórka, zobaczyłem mnóstwo nieprzyjacielskiej kawalerji.

Zatrzymawszy się na chwilę, zsiadłem z konia, a poprawiwszy moją kulbakę, ujrzałem, jak oddział naszych z kilkunastu koni złożony, w największym pędzie przez pola dążył ku Mora. Obróciwszy się w prawo, przebiegłem im drogę, a przejeżdżającemu przez pola, łatwo mi było dostrzedz, jak zdaleka pułk się nasz formował, jak nieprzyjaciel za nim zbiegając z gór, równie front bojowy stawił; nie pojmowałem przeto, dlaczego ten oddział z którym co tylko byłem się złączył, a w którym się znajdował pułkownik Konopka, szef Ruttié z adiutantami, podoficerowie: Krobicki, Kazaban, i kilkunastu żołnierzy, tak szybko się z placu bitwy oddalają.

¶ Gdym się zatem zbliżył do pułkownika rzekł, że pułk ocalał, bo uszykowany na równinach nie da sobie krzywdy zrobić, Konopka srogo na mnie spojrział, a nie wyrzekłszy słowa, dalej galopował.

Gdyśmy się już do Mora zbliżali, podjechawszy powtórnie do pułkownika i pokazując na kolumny po za wsią szyczące się do boju, zapytałem, czy to w samej rzeczy nasi. Na moje zapytanie, zatrzymał się na chwilę, i rozkazał mi wziąć dwóch ludzi, dla zrobienia rekonesansu.

Ruszyłem więc słowa nie wyrzekłszy, a obejrzawszy się po chwili, ujrzałem pułkownika z oddziałem dążącego nie za mną, lecz kierunkiem ku Toledo. Wtem napałem na chłopca, który chroniąc się od nas położył się na ziemi; od tego dowiedziawszy się, że w Mora są nasi, wołając dałem znak pułkownikowi; ten gdy z nami połączył się, wpadliśmy do wsi Mora, za którą na wzgórzach stało wojsko nasze już w szyku bojowym uformowane.

Była to dywizja generała Valence, pod którego wtedy zostawaliśmy rozkazami. Pułkownik z szefem zsiadłszy za wsią zaraz z koni, długo się przypatrywali przez perspektywę, czy wracającego nie ujrzą pułku: zawoławszy mnie potem, na groźne zapytanie pułkownika: „gdzieś pułk widział?” od-

powiedziałem, że przebiegając od wsi Orias widziałem wyraźnie, jak się pułk na równinach w szyku porządnym cofał, chociaż nieprzyjaciel nacierał, i że głową ręczę, że jest ocalonym.

Długo jeszcze pułkownik z szefem po cichu rozmawiali, poczem siedliśmy znowu na koń, i napotkali generała Valence, który pędząc ku nam zawołał: „gdzie pułk?” na co pułkownik wskazując na nas: „tyle tylko, rzekł stłumionym głosem, z pułku naszego ocalało”. Stary generał Valence, pod którego rozkazami byliśmy, i który nas kochał jak ojciec dzieci, tak wielką stratą przejęty, z rozpaczą zaczął załamywać ręce, a kiedy sam potem po polach jeździł z pułkownikiem, zdawało się, jakie mu gorzkie czynił wyrzuty.

Skorośmy z koni zsiadli, wzięwszy Kazabana na bok zapytałem go, aby mi odpowiedział z otwartością, dlaczego pułkownik nasz w niebezpieczeństwie zawsze tak dzielny i przytomny, dzisiaj głowę zupełnie stracił, zwłaszcza gdy pułk ocalony, na co przysiądz mogę. Kazaban westchnąwszy głęboko, ścisnął mnie za rękę i rzekł: „że chociażby była prawda, że pułk ocalony, strata nasza jest nieodwetowana; straciliśmy bowiem godło pułku naszego, godło jeszcze za rewolucji francuskiej we Włoszech pułkowi



dane, godło, które Napoleon zostawszy cesarzem chciał zamienić, a pułk na to przystać nie chciał, o co się nawet mocno uraził: a tem godłem są nasze cztery sztandary“.

Co mówił krzyknąłem, w piekle chyba były, kiedyśmy je pod Madrytem w zakładzie zostawili“. „Tak; odpowiedział, tam zostały z futerałami proporce, a chorągwie ja mojem rękoma zapakowałem do mantelzaka, którego w największym sekrecie w furgonie pułkownika był zachowany; furgon ten, dodał, pozostał po tamtej stronie góry, i pewno się dostał w ręce nieprzyjaciela“.

Ostąpiłem na to opowiadanie, znałem skutki wynikające z tego wypadku. W tym bowiem razie pułk tracił swoje istnienie, a my wszyscy pozostali przy życiu, prawo do wszelkich nagród najbardziej zasłużonych. Rozbierając tę smutną okoliczność, uważaliśmy, jak generał nie przestawał załamywać rąk, a pułkownik z pokorną miną przed nim się tłumaczył.

Tak upłynęło godzin cztery; wtem spostrzegliśmy zbliżającą się kurzawę, wnet potem przypadł do nas nasz oficer Stadnicki z doniesieniem, że pułk maszeruje, i z zapytaniem, w którym miejscu ma stanąć. Radość starego generała była podobna do szalu; gdy bowiem spostrzegł nasze chorągwie-

wki, rozplakał się jak dziecko, a my z nim z radości wszyscy szlochali.

Wtem się pułk nasz pokazał prowadzony przez dzielnego Kostaneckiego, i wskazane stanowisko przy kościele zajął.

Skoro dywizja generała Valence, zszedłszy z pozycji bojowej, zabrała się ku dalszemu pochodowi, ujrzeliśmy kawalerję idącą od miasta Toledo z tyłu, który z początku za nieprzyjacielską wzięto; pokazało się wnet, iż to był oddział złożony z rozsypanych żołnierzy pułku naszego. Pułkownik zwoławszy do siebie korpus oficerów, kazał nam wystąpić dla zrobienia lustracji po kompanjach, i obliczenia strat poniesionych; kompanja 5-ta i 8-ma z której pierwsza tylną, a druga przednią straż utrzymywała, najwięcej ludzi straciły.

Straciliśmy kapitanów Stokowskiego i Szulca w niewolę wziętych, podporucznika Stawiarskiego, sztabowego lekarza Gryła, poległych na placu bitwy, i do dwóchset ludzi w zabitych, rannych, i jeńcach.

Wszyscy oficerowie postradali bagaże, i ów nieszczęśliwy furgon pułkownika dostał się w ręce nieprzyjacielskie; umknął on był wprawdzie z początku z niebezpieczeństwa, lecz przewrócony i obojętnie uważany przez przejeżdżających, nikt bowiem się nie do-

myślał co zawierał w sobie, dobrowolnie nieprzyjacielowi był zostawionym.

Jeżeli zatem z podbitwy pod Jovenes pułk nasz ocalał, winniśmy to jedynie dzielnemu Kostaneckiemu, któren otoczony przez 7 pułków kawalerji, z laną w ręku przedarł się przez nieprzyjaciół zastępy, i honor pułku naszego ocalił. Jeżeliśmy zaś sztandary utracili, nie nasza w tem wina, lecz tych, którzy je przed nami ukrywali.

Z tego więc powodu pułk nasz utracił za karę nazwanie 1-go pułku ułanów, rozebranym jednak nie został: dano mu bowiem później 7-my N-er szwoleżerów francuskich.

Pułkownik Konopka zebranych oficerom z rozrzewnieniem tłumaczył się, jak na czele przeboju będąc uniesiony rącością konia, mimowolnie odłączył się od pułku; wychwalał męstwo każdego z osobna, z czego i mnie się dostało z kolei; oświadczył mi bowiem pułkownik, iż dla mnie szczególnie ma wiele osobistych obowiązków, i że postara się abym na oficera awansował. Nazajutrz dywizja generała Valence, wyruszyła za korpusem generała Sebastianiego dążącym ku rzece Gvadiana.

Dnia 27 marca 1809 roku, pod Ciudad-Real. uszykowany nieprzyjaciel na górze, w bardzo mocnej pozycji, rzucił swe kolumny piechoty, ku obronie mostu na rzece

Gvadiana. Baterje naszej konnej artylerji odparły te dwie kolumny od mostu, przez któren ruszyliśmy kłusem, a za nami pułk holenderskich huzarów, Skorośmy na drugim brzegu rzeki stanęli, generał Sebastiani przyjechawszy przed front naszego pułku, sam zakomenderował: „formuj szwadrony”: a następnie „rozwiń kolumnę”; co gdy uskuteczniiono, dobył szabli i w galopie prowadził nas na nieprzyjacielską piechotę; ta dawszy ognia, przewróconą została, my zaś przebiegłszy przez Ciudad—Real, wzięliśmy tył nieprzyjacielowi.

Hiszpanie strwożeni słabo bronili pozycji, skąd generalnym atakiem do rejterady zmuszeni zostali. Korzystając z popłochu, wnet dowiedliśmy jeżdżąc po karkach hiszpańskich iż pułk nasz „Los Infernos“ nazwany, a o którym doniosły im rozkazy dzienne, iż przestał istnieć, istnieje; a jeżeli sztandary utracił, jednak lance jeszcze zachował. Rozbita nieprzyjacielska piechota utraciła artylerję; pociąg i bagaże, kawalerja zaś zamiast zasłaniać rejteradę własnej armji, pierzchnęła z placu, i dopiero pod Santa-Cruz o milę od wioski Alvizelio, od której poczynają się wąwozy gór Sierra Morena, stawiała nam czoło.

Za wsią Santa-Cruz na równinach, kawalerja hiszpańska uszykowana frontem, czeka-

ła na nas. Po drodze umykały furgony, wozy, piechota, artylerja, kasa, bagaże.

Po stronach popospółstwo pieszo i na mułach, niewiasty i dzieci życie unosiły w niebotyczne góry, których wierzchołki ginąc w obłokach, zapowiadać się zdawały, iż przebyć ich niepodobna. Uszykowani w linii bojowej, nieociągając się na korpus z tyłu dość opodal maszerujący, uderzyliśmy na nieprzyjaciela.

Pękły szyki kawalerji, która w rozsypce ścigana aż do samych wąwozów za wieś Alvizelio, wszystko to utraciła, co w góry ująć nie zdołało; kasa wojskowa w ręce nam się dostała, i jakkolwiek nikt z nas grosza przy duszy nie miał, w całości generałowi korpusnemu oddana. We wsi Alvizelio stojąc dni kilka, przedstawiono do ozdób wojskowych tych, co się w ostatniej odznaczyli bitwie; w których liczbie z Rogojkim razem umieszczeni, nic jednak niedostaliśmy. Pułkownik tylko od Hollendrów, Vinot, ranny od postrzału w ataku na piechotę, awansował na generała.

Po tej wyprawie korpus nasz wrócił na stanowiska do miasta Toledo, a jakkolwiek w tymże samym czasie korpus marszałka Wiktora pod Merida stanowczo odniósł zwycięstwo, które mogło nam ułatwić zajęcie całej Andaluzji, gdy jednak wyprawy mar-

szałków Neja i Souлта nie powiodły się, i nasze korpusy z odniesionych zwycięstw korzystać nie mogły.

Pułk nasz dla zreorganizowania się po stratach poniesionych w bitwach pod Jovenes i Ciudad-Real, postawiono w mieście Toledo, z dywizją polskiej piechoty. Tam Zawadzki \*) w pojedynku zabił Moszyńskiego, oficera wielkich nadziei, powszechnie żalowanego. Po wypoczynku przez czas niejaki, w którym mieliśmy sposobność wejść w stosunki przyjacielskie z pułkami kawalerji francuskiej, wyprawiając sobie nawzajem uczyty i bankiety, piechota polska zajęła wieś Mancenares. a nasza brygada, to jest pułk huzarów holenderskich z naszym pułkiem, postawiono we wsi Valdepenias, na drodze prowadzącej do Sierra-Morena.

Wieś Valdepenias w prowincji Mancji, owej ojczyźnie Donquichota, wśród obszernej równiny położona, otoczona nieprzejrzaniem, winnicami, obfitująca w pszenicę i jęczmień, rozległe i porządnie zabudowana, tak wielkie miała zapasy żywności i wina, że nasze pułki tam przez kilka miesięcy konsystujące,

---

\*) Zawadzki umarł w roku 1823 na rewij pod Brześciem Litewskim, zabity od konia.

choć każdemu wolno było zabierać co się podoba, bo żadnego nie było we wsi mieszkanka, ciągle do zbytku mieli wszystkiego.

Tak wielkie powtarzaniem były składy wina, czyli w każdym domu zapasy, że jak upewniał Majewski adiutant podoficer, tamecznym komendantem placuznaczony, przez czas naszego tam pobytu, wydał on dla armji do jedenastu milionów butelek wina. Do tego jednak stopnia nie tylko nieoszczędzono, ale zbytkowano, konie nawet myto winem.

Do samego końca naszego pobytu w Valdepenias, nie zabrakło nam tego wybornego napoju, który nie upajał żołnierza, ale krzepił siły utrudzonego ustawiczną pracą. Oprócz straży z każdej strony koniecznej, ustawicznych patrolów, co noc prawie pod broń występować musieliśmy. Nieraz wyparowywani ze stanowisk naszych, zdobywaliśmy one na nowo jak ojczyste siedlisko; kiedy bowiem skazani byliśmy na nieskończoną wojnę, rajem dla nas były miejsca, gdzieśmy przynajmniej co jeść i co pić mieli.

Obszerny dom we wsi mieścił całą moją kompanję; tam wybrani kucharze z niefrontowych żołnierzy, ciągle jeść gotowali, ciagle stoły były nakryte, w żłobach jęczmień nasypany i w wiadrach wino gotowe, kowal

czekał ze zrobioną podkową, rymarz z szpagatem i szydłem.

Wracający żołnierz z warty, patrolu, komenderówki, natychmiast mógł się posilić; częstokroć bowiem chwila spoczynku była krótka, a zaledwo zsiadłszy z konia, wnet na niego na powrót wsiadać musiał. Nieprzewidując końca naszej kampanji, karmiono wieprze na szynki i kiełbasy.

Gospodarny Majewski urządził nam gorzelnię, gdzieśmy wódkę pędzili z wina, a kolega Skarzyński sporządzał doskonałe salcesony i kiełbasy. Jedliśmy na srebrze, którego nam nie zbywało. Słowem, wciągnęliśmy się w taki porządek życia, niemając dnia wolnego od bójki albo służby, że jeżeli się kiedy dzień taki zdarzył, to nam się nudnym wydawał. Po każdej bowiem utarczce następowały wesole uczty, żarty, i śmiech z wypadków, z których szczęśliwy kto unosił życie!

W Valdepenias pułkownik Konopka odjechał na czas niejaki do Francji, podpułkownik zaś Ruttié wysłuchawszy nas po kolei rachunków z odmian kompanijnych, i z pobieranego dla nich żołdu, tak jak spowiedzi w jubileusz, wkrótce potem oddalił się na dowódcę pułku francuskiego strzelców konnych.

Kostanecki szef, złożony chorobą leżał



pod Madrytem; oficerów i podoficerów wysłano do Francji dla formowania oddziałów, moja więc kompanja przez długi czas, żadnego niemając oficera, przezemnie jedynie administrowaną i komenderowaną była.

Od miesiąca kwietnia do lipca, rozkoszną że tak powiem prowadziliśmy kampanję w Valdepenias. Żołnierz z natury waleczny, gardził niebezpieczeństwem i trudami, nie myślał o nagrodach, bo ich nikomu nie dawano, nie suszył sobie głowy nad tem, co jutro będzie, nie zastanawiał się nad przyczynami wojny którą prowadził, nad powodem owych poświęceń i ofiar, a jeżeli kiedy westchnął za rodzinną strzechą, w winie hiszpańskiem topił smutne wspomnienie.

Na początku miesiąca lipca stanowiska nasze w Valdepenias opuściliśmy, zluzowani przez pułki francuskie. Na nowych posterunkach na ciągły harc wystawieni, otoczeni nieprzyjacielem, gdyśmy się z przodu pilnowali, nieraz z tyłu napadnięci, nie wiedzieliśmy często z której strony nas bieda czekała. W tymże samym czasie, smutny wypadek dotknął pułk dragonów francuskich.

Nad samym rankiem, wystąpiwszy na obranem miejscu do chędożenia koni, zaledwo takowe rozkulbaczyli, gdy ze wszech stron przez hiszpanów napadnięci, w pień

wyrżnięci zostali. Podobny los spotkał oddział polskiej piechoty, złożony z dwudziestu kilku rannych i chorych, którzy wyszedłszy z lazaretu w Toledo, do pułku dążyli. Czyli zbłądziwszy, czyli też szukając lepszych kwater, zboczyli z traktu, i stanęli na noc we wsi Villa-Ferdinando w samych górach.

Tam rozkwaterowani, w nocy rozbrojeni przez mieszkańców, na plac sprowadzeni, gdzie poobwijani w pakuły i słomę, zmazczane w oliwie, spaleni zostali. Jeszcześmy tych nieszczęśliwych ofiar widzieli dogorywające członki, gdyśmy uwiadomieni przez jednego zbiegłego żołnierza ruszyli im na ratunek.

Niestety, zapóźno! Obstąpiona wieś do szczętu spalona została, a mieszkańcy bez różnicy płci i wieku wyklóci.

D. 20 lipca 1809 roku, generał angielski Arthur Welleslej (Wellington) w 5,000 angiików, połączywszy się z armją hiszpańską będącą pod dowództwem generała Cuesta, złożoną ze 20,000 i portugalską ze 38,000 wojska, postąpił do miasta Talavera.

Dnia 26 tegoż miesiąca, gdy marszałek Victor połączył się z korpusem generała Sebastianiego, pod dowództwem samego Józefa Bonapartego króla hiszpańskiego, we

47,000 wojska ruszyliśmy także ku Talavera.

W wąwozach d'Alcabon, w bliskości Torrijos, dziesiąty pułk huzarów w awangardzie będący, rozbił pułk dragonów hiszpańskich „Villa-Viciosa“, poczem generał Cuesta cofnął się przez małą rzeczkę l'Arbecha zwaną, za którą las dębowy osadził strzelcami irlandzkimi. Nadciągnęła nasza armja, w las posłano wołtyżerów, i tam rzędisty rozpoczął się ogień.

Lekka nasza kawalerja, a osobno dragoni z artylerją konną, przeszły rzeczoną rzeczkę około piątej z południa, i postąpiliśmy naprzód, piechota zaś drogą ku miastu zajęła oliwne ogrody.

W poruszeniu naszym płaszczyzną, pomiędzy lasem na prawo, a ogrodami na lewo, do rzeki Tagus przypierającemi, nad którą miasto Talavera jest położone, żadnej nie znaleźliśmy przeszkody. Dopiero gdy nad zachodem słońca zbliżyli się do prawego skrzydła nieprzyjacielskiego, piechota hiszpańska obok licznej artylerji przypuściwszy na nas strzał karabinowy, przywitała rzędistym ogniem, i niemały nieporządek w masach naszych sprawiła. Ale wkrótce wskazane stanowiska kaźden w cichości największej i w porządku zajęł.

Już na naszym lewym skrzydle coraz to

bardziej ogień słabł, gdy na prawem, w lesie, po wyparciu bagnetem strzelców irlandzkich, zawzięty bój do późnej trwał nocy. Piechota nieprzyjacielska zajmowała wzgórze położone naprzeciwko śpiczastej góry, podobnej do kopca czubatego, prawe skrzydło opiera o miastą Talavera, lewem dotykała dawnego i zupełnie wyschłego koryta rzeki, za którem sterczało pasmo gór skalistych.

Takowej pozycji zdobycie stanowiło wygraną bitwę.

Nastąpiła noc, kaźden czuwał, bo stał w oczach nieprzyjaciela. Przytem niedostatek żywności i furazu, silnie czuć się nam dawał. Chleba nie mieliśmy wcale, a za butelkę wina Valdepenas, płaciliśmy i to za wielką łaską, po luidorze.

Ścierń po pożętem zbożu, był jedynym furazem dla naszych koni. Po głodnej, chłodnej i bezsennej nocy, pierwsze promienie słońca dzień pogodny nam oznajmiły. Kawalerja pociągnęła płaszczyznę na nasze prawe skrzydło. W korycie rzeki opartem o skaliste góry, postawiono dwa pułki strzelców konnych, obok kilkadziesiąt armat wymierzonych naprzeciwko owego kopca, będącego kluczem nieprzyjacielskiej pozycji; dalej stał nasz pułk mający na swoim lewym skrzydle artylerję konną, złożoną z 50

sztuk armat, w tyle lekka i ciężka kawalerja. Piechota 4-go korpusu na lewo w ogrodach pod miastem. Środek był zajęty przez 1-y korpus marszałka Victora, w rezerwie zaś korpus marszałka Jourdan, czyli załoga Madrytu. Rzuciła się dywizja piechoty na zdobycie bagnetem owego kopca, lecz przez na ziemi ukrytą piechotę angielską rześnistym ogniem i kartaczami rozbita, straciwszy generała i wielką liczbę w zabitych i rannych, do odwrotu przymuszona została.

Odślonięte tym sposobem prawe skrzydło czwartego korpusu, mocno ucierpiało od strzałów artylerji angielskiej, lewe również postąpiwszy pod mury miasta Talavera, morderczą bójkę wytrzymałszy, cofnąć się musiało.

Gdy nadzwyczajny upał zaczął okropnie dokuczać, a obie strony już znaczne poniosły straty w zabitych i rannych, strzały ręcznej broni i armatnie powoli ustawać zaczęły; nastąpiła przerwa ognia, cisza, i jakby z umowy, zawieszenie broni. Piechota broni w kozły złożyła, kawalerja z koni zsiadła, pozbierano rannych z placu bitwy.

Król Józef obejrzawszy osobiście pozycję nieprzyjacielską, postanowił zaniechać ataku na punkt główny, to jest ów kopiec, który jak opisuje w dziele swoim p. de Rocca, w nocy i z rana kilkakrotnie był atakowany

siłami niestosownemi, bo począwszy od batalionu, stopniowo aż do dywizyi; czego nie widząc własnymi oczyma, w innej bowiem byłem stronie, zaręczyć nie mogę.

W tej przerwie bitwy, czyli wypoczynku, angielska i portugalska kawalerja napadłszy niespodzianie na 28 pułk piechoty francuskiej, prawie cały wysiekła. Z pułku tego saper unosząc w ręku kukówkę od sztandaru, ścigany przez dwóch chuzarów portugalskich, broniąc się toporem, kilkanaście razy ranny, dostał się nakoniec w szeregi 4-go pułku piechoty polskiej, przed frontem którego, obydwóch wściekłych huzarów zakłuto.

Niemogąc tak mocnej nieprzyjacielskiej pozycji bez wielkich strat zdobyć, postanowiono ją dwiema dywizjami piechoty obejść czyli okrążyć. Armia stanęła pod bronią, a morderczy ogień na całej linji rozpoczął się na nowo.

Anglicy zapobiegając skutkom ewolucji dwóch naszych dywizji piechoty, wysłali kawalerję do ataku, z której pułk 23 dragonów angielskich uderzywszy na pułki 10 i 26 strzelców konnych francuskich, stojące w wyschłym korycie rzeki, pomimo, że nasza piechota nie oszczędzała ognia z ręcznej broni, obydwie te pułki rozbił; uniesiony potem czy zapałem, czy twardemi końmi w pyłkach, wpadł tem korytem aż w tył naszej

rezerwie, gdzie w bagażach, wozach, kantynierkach i koniach powodowych, wielkie zrobił zamieszanie. Spostrzegłszy to wódz angielski, poruszył masą całej kawalerji naprzeciwko naszej stojącą.

Marszałek Victor przyjechawszy przed nasz pułk, „Polacy! naprzód“ zawołał, a kapitan Huppert dowódzca pułku, zakomenderowawszy trzema na prawo, naprzód marsz! marsz! W mgnieniu oka kawalerja angielska straciła szyk bojowy, i zniesioną została. W kilku minutach, w części wykłóta, w części rozbrojona, śmiało rzec można, że jej już nie było.

P. de Rocca nie raczył w swoim dziele o tem zdarzeniu ani wzmianki uczynić. Zniszczeniem jednak zamachu nieprzyjacielskiego, wstrzymaniem operacji ogromnej masy kawalerji, na całej linii przedsięwziętej, jeżeliśmy nie rozstrzygnęli losu bitwy dnia tego, możem jednak śmiało powiedzieć, żeśmy anglikom wydarli zwycięstwo.

Dzień się już miał ku końcowi, z tego powodu zaniechano dalszych obrotów na całej linii, a gdy nasza artylerja konna rżęsiwym ogniem zmusiła anglików do odwrotu bitwa skończyła się na tem, że ani jedna, ani druga strona, do wygranej rościć sobie prawa nie mogła.

W nocy stojąc ciągle pod bronią, usły-

szeliśmy, że nasza artylerya schodzi z pozycji, a skoro świtać zaczęło, poszła za nią ciężka kawalerja i my na końcu. W odwrocie naszym, przechodziliśmy przez ów las dębowy, gdzie mnóstwo leżało trupa, i rannych strzelców irlandzkich; ci ostatni, pokazując nam szkaplerze na znak, że katolicy, o ratunek wołali!

Pan de Rocca twierdzi, żeśmy pod Talavera stracili, czyli porzucili 20 armat. Pytam gdzie i dlaczego? kiedy, jak sam powiada, nieprzyjaciel z pozycji nie schodził za nami, spodziewając się, że los bitwy do dnia następnego odłożony; a dnia tego obaczywszy żeśmy się cofnęli, i dowiedziawszy o zbliżaniu się korpusów marszałków Ney'a i Mortiego od Placencji ciągnących, opuścił swoją pozycję i w tył się cofnął.

Strata z naszej strony do 10,000 ludzi wynosiła, podług zaś raportów angielskich, nieprzyjaciel stracił 6,616 ludzi.

Korpus marszałka Victora, został się nad rzeczką L'Arbechą, król Józef ruszył ku obronie swojej stolicy, do której mieszkańcy byli wpuścili generała Wilson; czwarty zaś korpus forsownemi marszami dążył do miasta Toledo, gdzie 1,500 polskiej piechoty, dzielny odpór dawało generałowi hiszpańskiemu Venegas.

Za zbliżeniem się korpusu naszego, hisz-



panie odstąpili od miasta Toledo, a 11 sierpnia pod Almonacid stoczyliśmy bitwę. Wieś Almonacid jest położona na pochyłości pasma gór niezbyt wysokich, które hiszpanie obsadzili piechotą, również jak śpiczastą skalistą górę, leżącą na ich lewym skrzydle. Kawalerja na równinach popod górąmi stanęła, artylerja obrała sobie dominującą pozycją. Korpus nasz rozwinął się na polach, dojrzałem zbożem okrytych.

Gdy nasz pułk formujący awangardę korpusu, spędził nieprzyjacielskich flankierów, dywizja piechoty polskiej księstwa warszawskiego, wysłaną została na zdobycie śpiczastej góry, co się trudnijszem pokazało jak opanowanie owego sterczącego kopca pod Talavera; tu bowiem góra cała najeżona kamieniami, poza któremi ukryci hiszpanie, srodze naszych razili. Piechota polska w przechodzie przez szeroką równinę, napadniętą została przez hiszpańską kawalerję; te wielkie straty poniosłszy, do odwrotu przymuszoną została. Poczem piechota doszedłszy do stóp śpiczastej góry, zaczęła się na nią drapać.

Z początku ani wystrzałów słyhać, ani nieprzyjaciela widać nie było: już nawet sądzono, iż ta pozycja wcale nie jest obsadzona, gdy naszych, gradem kul obsypano zewsząd. Tu zginął waleczny pułkownik

Sobolewski na czele pułku swojego, przy nim większa część oficerów i kilkuset żołnierzy z jego pułku.

Generał Sebastiani, któren na linii bojowej czekał na wzięcie tak ważnego stanowiska, spostrzegłszy jak drogo okupionem będzie, posłał trzech adjutantów z rozkazem aby dywizja w tył się cofnęła; z tych dwóch zginęło, trzeci, utraciwszy konia, przybiegł piechotą na górę, już wtędy, gdy Polacy zdobyszy pozycję z bagnetem w rękę, mścili się za poniesione straty.

Znał generał Sebastiani, całą ważność owej góry, będącej kluczem całej pozycji, między którą a owym kopcem czubatym pod Talavera, ta tylko zachodziła różnica, iż ten był na lewem, a góra pod Almonacid na prawem skrzydle nieprzyjaciela, że na koniec, dla jego pochyłości, można było zatoczyć armaty, stroma zaś góra, najeżona skałami, strzelcami tylko osadzoną być mogła.

Skoro tylko punkt tak ważny, walecznością bezprzykładną zdobytym został, rozkazano nam rzucić się w prawo na kawalerję nieprzyjacielską, reszta zaś korpusu ruszyła do wsi Almonacid. Dywizja polska, chociaż wiele ucierpiała, zszedłszy ze zdobytej pozycji, rzuciła się w pogoń za uciekającą hiszpańską, a pułk nasz uderzy-

wszy na kawalerją, odłączył ją od piechoty i do ucieczki zmusił; zwróciwszy się potem zajął tył nieprzyjacielowi, którego kolumny niedotrzymawszy placu, poszły w rozsypkę. Trwoga i zamieszanie stały się powszechnemi, a wojsko hiszpańskie utraciwszy działa i bagaże, całkowicie rozbite zostało.

8 sierpnia, awangarda marszałka Mortier zniosła oddział będący pod dowództwem generała Cuesto,

12 sierpnia, marszałek Ney pobił generała Wilson w górach de Banos, poczem generał Arthur Welleslej cofnął się do Portugalji, Madryt oswobodzonym został, a my po tylu zwycięztwach, słusznie wróżyliśmy sobie blizki koniec kampanji, lub przynajmniej długie odpoczynek po znojach. Jakoż pułk nasz postawiono w spokojnych i wygodnych kwarterach, skąd dopiero w październiku za zjawieniem się nowych sił nieprzyjacielskich, przemaszerowawszy przez miasto Toledo, stanęliśmy na linii bojowej,

17 listopada, dywizja polska księstwa warszawskiego będąca pod dowództwem pułkownika księcia Sułkowskiego, zajmowała Aranjuez.

Pułk nasz niedaleko Toledo, wyświecał patrolami poruszenia armji nieprzyjacielskiej, z 55,000 wojska złożonej. W jednej brygadzie z pułkiem 19 strzelców konnych fran-

cuskich pod dowództwem generała Paris, z 17-go na 18-sty w nocy ruszyliśmy pod Toledo, a maszerując noc i dzień, stanęliśmy około 2 zpołudnia w alejach wiodących do Aranjuez, gdzie w wilgą naszego przymarszu, piechota polska nieco poturbowaną została przez kawalerją hiszpańską, Krótko odpocząwszy, w przytomności maraszałka Mortier i generała Sebastiani, przebyliśmy rzekę Tagus wplaw, poczem ruszyliśmy drużyną po lewej stronie traktu do miasta Ocana, odległego stamtąd o dwie mile.

Nadbiegł do nas adjutant marszałka z rozkazem; że dziś nie ma nieprzyjaciel pardo-nu. Na takie hasło, kaźden z nas pokręcił węża, i czapkę bardziej na ucho nachylił. Prowadzeni przez jakieś ścieżki i manowce, nie wiedzieliśmy co się w koło nas dzieje; aż wyszedłszy na górę usłyszeliśmy komendę formuj plutony, a następnie plutonami wstępuj do frontu. Ja prowadziłem pluton za oficera, bo prawie po większej części wszystkie plutony prowadzone były przez podoficerów, pułkiem zaś dowodził kapitan Huppert.

Uformowawszy się frontem, ujrzeliśmy rozległą płaszczyznę, za którą opodal miasto Ocana. Na równinach stała uszykowana w różnych kierunkach liczna kawalerja hiszpańska. Traktem z Aranjuez do Ocana

prowadzącym, posuwała się brygada dragonów francuskich, na których czele jechał sam marszałek Mortier z generałem Sebastianim, celem rozpoznania pozycji.

Skoro stanęliśmy na linii bojowej, przezo-rny kapitan Huppet, rozkazawszy dowódc-com plutonów stanąć każdemu na skrzydle prawem swojego plutonu w szereg, przebie-gał front, zalecając porządek i ściśle wyko-nanie komendy. Jakoż wnet prawe skrzydło nieprzyjacielskiej kawalerji złożone z owych „Carabineros Reales“ dobrze nam od bitwy pod Jovenes znanych uderzyli na nas, pro-wadzeni przez dzielnego dowódcę na bia-łym koniu, któren wyprzedzając wszystkich, sam pierwszy szedł do ataku. Huppet krzy-knął: „za broń!“ a za zbliżeniem się frontu nieprzyjacielskiej jazdy: „do ataku broń!“

Czyli że raptowne spuszczenie lanc do ataku strwożyło lecących w pędzie hiszpa-nów, czyli mignięcie chorągiewek konie im zraziło, bądź co bądź, ale front nieprzyja-cielski stanął przed nami jak wryty, lub nad przepaścią zatrzymany, z czego korzystając Huppet, obleciał naszą linię raz jeszcze za-lecając porządek i krew zimną.

Przez ten czas hiszpański dowódzca prze-raźliwie krzyczał na swoich: „alante ljos“! (naprzód dzieci), lecz gdy to było bezskute-czne, zakomenderował: „fuego“! (ognia).

Przywitanie rześistym ogniem, wytrzyma-  
liśmy go spokojnie, gdy dowódzca chiszpań-  
ski, napróżno jeszcze wołał na swoich: „a-  
lante Ijos“!, a przywiedziony do rozpaczy,  
rzucił pałasz na ziemię i pierwszy z placu  
umknął. Za dowódcą pułk cały poszedł  
w rozsypkę, z czego korzystając, ścigaliśmy  
owych sławnych kárabinierów, aż pod samo  
miasto Ocana.

Na szczęście nasze, dowódzca 10 pułku  
strzelców konnych, składających z nami je-  
dną brygadę, zdołał choć z trudnością utrzy-  
mać w miejscu swoją brygadę.

Bo gdyby i ta jedyna rezerwa nasza, po-  
dobnie jak my była rozbita, hiszpanie mając  
3000 kawalerji, byłiby nas obstąpili i do  
szczętu znieśli. Konni strzelcy nasi, powta-  
rzam, pozostali w miejscu, a oficer z nasze-  
go pułku Janiszewski będący przy generale  
Sebastianim, wysłany przez tegoż z rozka-  
zem abyśmy się cofali, gdy doniósł, iż pułk  
nasz złamał prawe skrzydło kawalerji hisz-  
pańskiej i bije słę pod miastem Ocana, mar-  
szałek Mortier zwróciwszy brygadę wraca-  
jących z rekonesansu dragonów, na czele  
tychże sam szarżę przypuścił, co widząc 10  
pułk strzelców konnych, to samo ze swej  
strony uczynił.

Korzystając z tego obrotu, Huppet wypro-  
wadził nas z ambarasu, naprędce sformo-

wał i atak ponowił. Tym więc sposobem nieprzyjaciel z trzech stron napadnięty, chociaż potrójną miał siłę, niewytrzymawszy natarczywości naszej kawalerji, tył poddał i w zupełną rozsypkę poszedł.

Z trzech tysięcy kawalerji hiszpańskiej mało co uszło z placu, mało się nam niewolników dostało; rozjuszony bowiem żołnierz, korzystając z hasła bez pardonu, mało komu życie zostawił.

Wielkie mnóstwo koni stało się naszą zdobyczą, a ciemność nocy przerwała bitwę, której los do dnia następnego odłożony został.

Pułk nasz cofnąwszy się manowcami z placu pobojowiska, zatrzymał się w bliskości wioski, gdzie nasza polska piechota stanęła na nocleg. Radość z odniesionego zwycięstwa dzieląc z ziomkami swojemi, przy ogniskach każdy opowiadał swoje czyny; były to tysiąc nocy i jedna, tylko prawdziwe! każdy bowiem opowiadał co zrobił, co widział!

Nazajutrz rano gdy pułk wystąpił, dowiedzieliśmy się dopiero o stracie naszego generała brygady Paris, poczciwego staruszka, kochanego od wszystkich. Długośmy nie wiedzieli czy zginął, czy się do niewoli dostał, aż w końcu doszła do nas wiadomość, iż po owej szarzy pod Ocana, wzięwszy uła-

nów hiszpańskich za nasz pułk, przez nich schwytanym został. Stawiony potem przed generała hiszpańskiego, za dane hasło, aby hiszpanom nie dawać pardonu, z jego rozkazu srodze zamordowanym został.

Dnia 19 listopada, ruszyliśmy traktem z Aranjuez do Ocana, dla zajęcia wczorajszej pozycji.

Stanawszy na prawem skrzydle lekkiej kawalerji, gdy się już cała armia uszykowała, przy odgłosie trąb i muzyki, marszałek Mortier przyjechał przed front naszego pułku, a zdjąwszy kapelusz, wynurzył nam najwyższe zadowolenie za wczorajszą szarżę. Poczem w imieniu Napoleona mianował kapitana Huppet szefem szwadronu, i kazał sobie podać listę tych, co się najwięcej odznaczyli; gdy nadto dowódzca odpowiedział, że wszyscy są waleczni, nikomu jak zwykle nic nie dano.

Około 8-ej lub 9-ej zrana dywizja polska uderzyła na prawe skrzydło nieprzyjacielskie, oparte o wąwozy prowadzące od rzeki Tagus do miasta Ocana. Brygada niemiecka, w asekuracji polskiej dywizji, za nią pomaszerowała. Reszta armji stojąc na miejscu, miała być świadkiem nastąpić mających wypadków.

Za zbliżeniem się polskiej dywizji do wąwozów, przywitani gradem kul armatnich



i ręcznej broni, polacy poniósłszy wielki szwank w zabitych i rannych, już się w nieporządku cofać zaczęli, gdy książę Sułkowski porwawszy sztandar drugiego bataljonu, czwartego pułku piechoty, uciekających zatrzymał, a rzuciwszy się pomiędzy nieprzyjaciół zastępy, wąwozy, i armaty hiszpańskie zdobył. Po tym stanowczym wypadku, bitwa krótko trwała, piechota nasza zajęła miasto Ocana, a kilkadziesiąt tysięcy niewolnika, stały się dla nas trofeami zwycięstwa.

P. de Rocca w dziele swoim twierdzi, że zwycięstwo pod Ocana, odniósł jedynie korpus marszałka Mortier. Twierdzenie takowe, pochodzi zapewne z niewiadomości, gdyż autor jak sam przyznaje, był wtenczas wysłany do Francji; niebędąc więc naocznym świadkiem tej bitwy, opisał to, co mylnie słyszał!.

Po bitwie pod Ocana, rozkazano w pułku naszym wszystkim wachmistrzom starszym i furjerom. udać się pod Madryt do zakładu, dla uporządkowania odmian kontroli. Tam zastałem Kostaneckiego ciągle chorego, sam zaś zaraz po moim przyjeździe, dostałem nieznośnego bólu w nodze.

Napróżno leczyli mnie hiszpańscy lekarze; stan mego zdrowia coraz się pogorszał; dopiero Rörich pułkowy nasz lekarz, za przybyciem swoim poznał, iż ból mój po-

chodził, od upadnięcia z koniem po bitwie pod Ocana, wskutek czego kość w nodze nadpękniętą została; przedsięwziąwszy zatem skuteczne środki, wnet mnie przywrócił do zdrowia.

Pan de Rocca słusznie sądzi, iż po wygranej bitwie pod Ocana, wojsko francuskie powinno się było rzucić na zajęcie Portugalji, i zmusić anglików do opuszczenia półwyspu. Po uwolnieniu tym sposobem hiszpanów i portugalczyków, od podżegania i intryg angielskich, uspokojenie umysłów mogło być łatwiejszem.

Kiedy przeciwnie, zajmując prowincje po za górami Sierra-Morena jako to: Sewillę, Grenadę, Estremadurę i Murcję, korpusy pojedynczo, bez skomunikowania się z sobą działały, przez co Anglicy zyskali czas do wzmocnienia Portugalji i uorganizowania sił własnych i sprzymierzonych.

Powody usprawiedliwiające zajęcie prowincji wyżej wyszczególnionych, były, iż zdawało się, że tam spoczywa ognisko rewolucji; to jest, że tam istniał rząd narodowy, mający komunikację z całym krajem. Tak też rzeczywiście było, i gdybyśmy się byli rzucili na Portugalję, los korpusu Junota byłby nas niezawodnie spotkał. Podług mojego zdania, trzeba było, albo nierozdzielając sił własnych, wielkimi massa-

mi działać i rozstrzygać od razu, albo oszczędzając krwi ludzkiej tak marnie przelanej, ustąpić hiszpanom tej ziemi której tak walecznie, tak bohatersko bronić umieli!

Po bitwie pod Ocana, rząd narodowy hiszpański przekonał się, że w otwartym polu hiszpanie mierzyć się z nami nie mogą, w całym kraju wojnę regularną, na wojnę partyzancką czyli gierylasów zamienił. Od tej epoki, kupy żołnierzy, połączone z mieszkańcami równin i gór, mając księży na czele, w pośrodku wojsk naszych, formowały niebezpieczne bandy.

Nieraz mnich w kapturze dowodził oddziałem, a najmniejsza odniesiona korzyść z ust do ust przechodząc i rosnąc po drodze, zapal hiszpanów zamieniała w szaleństwo. Każdy rozsądny świadek tego, co się codziennie działo, mógł snadnie przewidywać, że jeżeli naród hiszpański podbić można, uśmierzyć go niepodobna.

Skoro którą prowincję opuszczały wojska francuskie, zaraz w niej zaprowadzano władzę w imieniu Ferdynanda VII-go i karano tych hiszpanów, którzy najmniejszą ku nam okazali życzliwość.

W Maladze i innych miastach, widziano kobiety pierwszych rodzin, wystawione na pręgierzu za to, że z nami tańczyły na balach.

Odtąd zachowywaliśmy tę ostrożność, iż zapraszając gości na wieczory lub bale, komenderowano oficera i kilku żołnierzy z bronią, którzy chodząc od domu do domu, jakoby zmuszali do zabawy.

Jednem słowem, zwyciężone wojsko hiszpańskie i po całym kraju rozsypane, w ciągłym nas jednak obleżeniu trzymało i istotnie, w Hiszpanji kaźden z nas był tylko panem tej stopy ziemi, na której stał chwilowo. Garnizony zostawione dla utrzymywania mieszkańców w posłuszeństwie, ustawiczną prowadziły wojnę; były zmuszane sypać fortyfikacje ku własnej obronie, lub na prawiać dawne zamki, przez rzymian lub maurów w tym celu po górach stawiane.

Na równinach obwarowywano domy, dla utrzymywania poczty listowej. W następnym roku wojny hiszpańskiej, mocno będąc ranny, na podobne przeznaczenie wykomenderowany zostałem do wsi Mariena pomiędzy Sewillą a Kordubą, a do mojej komendy dodano cały szpital koni odsednionych, i rannych z naszego pułku.

Zluzowawszy z tej posady oficera Leduchowskiego, znalazłem na pierwszy rzut oka, że jakkolwiek we wsi oba końce ulicy są zamurowane, opatrzone strzelnicami, i mają tylko do wnijscia furtki za palisadami, za któremi straż dzień i noc czuwała; gdy je-

dnak poprzednik mój, straż takową powierzył gwardji miejscowej, którą w broń i amunicję opatrzył, niedowierzając takowej, kazałem broń u siebie złożyć, a straż wsi oddałem moim ułanom.

Tę ostrożność za konieczną osądziłem z przekonania, iż owa gwardja narodowa piesza i konna, ku usłudze króla Józefa w całej Hiszpanji uformowana, sprzyjała bardziej narodowi, jak nowemu rządowi, i w niej zamiast pomocy, mieliśmy tylko domowych szpiegów i ukrytych nieprzyjaciół.

Nazajutrz mojego, że tak nazwę gubernatorstwa, nad samym wieczorem szyldwach zawołał: „kto idzie“? a po odpowiedzi, dodał: „kaprał przekonaj się“; skoczyła warta do broni i ja też wyszedłem za bramę. Tam zastałem pięciu hiszpanów, z których jeden, jak się zdawał starszy między niemi, na dzielnym koniu, zbliżywszy się do mnie, prosił o pozwolenie przenocowania we wsi ze swoją komendą.

Zapytawszy o list otwarty, kazałem przywołać naszego komisarza wojennego, hiszpana, dość nam sprzyjającego, ażeby przejrzał papiery, sam zaś uchwyciwszy za karabinek wiszący przy kulbace nieznanomego, był-to sztuciec z gatunku nazwanego garłacz,

chwalilem, iż to była broń dobra na blizki strzał.

Hiszpan mój w oka mgnieniu porwał za sztuciec z drugiej strony kulbaki wiszący, a wymierzywszy ku mnie, „i to niezły kawałek zawołał“. To wszystko we mnie podejrzenie wzniciło.

Wtem komisarz zapytał nieznanego: „Dokąd pan maszerujesz“—„Do Alcala“. — „Jak liczna twoja komenda?“—„Wszak napisano w marszrucie, że dwieście ludzi, odpowiedział, a jeżeli państwo nie wierzycie, to proszę z sobą“.

Jakoż, wzięta mnie ciekawość obaczyć tę bandę, i już uszedłem kilka kroków, kiedy tknięty jakby przecuciem, zawołałem: „trą bić do apełu“ i przeprosiłem hiszpana, iż dalej z nim iść nie mogę, bo mnie służba woła; ten się zatrzymał, a zwróciwszy ku mnie konia: „Cavallo reverencia“ (koniu ukłoń się) zawołał.

Przepyszny andaluzki rumak, spiał się na te słowa i ukląkł, a zaczekawszy chwilę, aż się z jego panem pożegnałem, uniół go pędem wiatru w przeciwną stronę. Wtedy dopiero komisarz wrócił do przytomności i wyznał, iż mu się zdaje, że ten nieznanomy jestto sławny partyzant Saldibias, przyczem wymawiał się, że mnie o tem wprzód przestredz nie mógł.

Nazajutrz wzięwszy kilku ułanów, pojechałem do innej wsi pod moim zarządem będącej, a tam wybadawszy alkadego, czyli wójta gminy, przekonałem się, iż mniemanie naszego komisarza było prawdziwem. Ostrzeżono mnie nawet, iż Saldibias z komendą swoją, znajduje się o kilka staj w zasadzce około młyna, i czeka na przechodzić tamtędy mający konwój.

Od tej chwili, największą ostrożność zachowywać przymuszony byłem, i ta jedynie nas od ciągłych zasadzek i sideł chroniła. Gdzie kawalerji nie było, stawiano sztyldwachów na wieży dla wypatrywania podjazdów gierylasów; na noc zamykano się do ufortyfikowanego domu, a żołnierz trzymając broń w rękę, spoczywał. Pomimo tego, wieleżto odosobnionych oddziałów wymordowano w Hiszpanji nad rzeką Gvadiana w podobnej stacji jaką ja zajmowałem, oficera i 20 żołnierzy wyrżnięto, którym w pomoc przyszedłszy, drgające jeszcze ciała znaleźliśmy.

Armja francuska, z największą trudnością otrzymywała amunicję i inne wojenne transporta; takowe przechodząc przez całą Hiszpanję, mocnej zawsze eskorty wymagały. Na równinach bezpiecznie przechodzić mogły, lecz w górach, napadnięte nieraz przez

przemagającą siłę, stawały się często łupem bitnych gieryłasów.

O furaż i żywność z orężem w ręku dobijać się trzeba było, i można śmiało wyrzec, iż w tych odrębnych wyprawach, francuzi więcej ludzi w Hiszpanji stracili, jak w otwartych bitwach. Naród hiszpański od początku do końca tej nieszczęśliwej wojny, jednostajną zachował wytrwałość, a zarazem zemstę i nienawiść ku francuzom. Nieraz rolnik jedną ręką orząc, w drugiej trzymał broń nabitą, nie ku własnej obronie, ale szukając oczami ofiary.

W wielu miejscach starano się odziały trunkami mocnymi upajać, a nocą uśpionych srodze mordowano. Gdyśmy zaś mieszkańców za podobne morderstwa chcieli karać, uchodzili w góry, próżne nam zostawiając domy.

Pięć lat trwała ta krwawa wojna; wygraliśmy dziesięć wielkich bitew, nie rachując pomniejszych i ustawicznych potyczek, wszystkie prawie fortece hiszpańskie były w naszym ręku, a jednak ani jednej piędzi ziemi nie posiadaliśmy spokojnie. Hiszpanie zawojowani lecz nie podbici, jeżeli nie opór, to nam przynajmniej ciągle stawiali przeszkody, jeżeli nie w otwartem polu, to w bezustannych zasadzkach, to w ciągłych



skutkach okrutnej, nieprześląganej zemsty, silniejsi od nas, bo silni dobrą sprawą.

W połowie miesiąca grudnia 1809 roku, gdy do wszystkich prawie pułków w Hiszpanji będących, nadciągnęły oddziały z Francji, czem armja nasza znacznie wzmocnioną została, uchwalono wyprawę do Aragonji, celem zniszczenia rozlicznych band gierylasów, a szczególnie partyzanta Porliera, przezwanego Marquesito, synowca generała Romana, któren w Pirenejskich górach przecinał nam wszelką z Francją komunikację.

Oddział z naszego pułku pod dowództwem kapitana Fijałkowskiego, ruszył na tę wyprawę, do której i ja udział miałem. Po kilku marszach, tak zręcznie plan wykonano, iż przeszedłszy przez góry Arragonji, po prawie niedostępnych ścieżkach, dostaliśmy się nakoniec do wioski w równinie położonej, kędy była prowincjonalna junta, czyli rząd całej okolicy, z którym się wszelkie władze krajowe łączyły.

Wszakże, zanim z gór zbiegliśmy, wszystko zdołało umknąć przed nami, zostawiwszy nam ogromne zapasy ryszunków, broni, amunicji, skór, płótna, sukna, mundurów, dostarczonych przez Anglję. Po tej wyprawie tak bezskutecznej, skorośmy tylko góry Arragonji opuścili, junta miejscowa wróciła

napowrót, anglicy na nowo dostarczyli potrzeb wojennych, a markiz Porlier, na czele bandy swojej, znowu nas trapić zaczął.

Na początku stycznia 1810 roku, oddziały nasze wyruszyły nakoniec każdy do swojego pułku. Nasz oddział ułanów, przeszedłszy Aranjuez, Ocana, Valdepenas, Santa-Cruz, wszedł do wąwozów gór Sierra-Morena.

Jedna droga w skałę wykuta, ale ręka natury, pomiędzy dwiema ścianami, sięgającymi wierzchołkiem obłoków z prowincji Mancji prowadziła do Andaluzji, słusznie rajem ziemskim nazwanej. Droga ta miejscami obwarowana i ze zwodzonym mostem, była do nieprzebycia. O czem przekonawszy się francuzi, obrali do przejścia tych gór inne mniej trudne miejsce, ale również obwarowane i przez kilkadziesiąt tysięcy ludzi bronione.

Niebędąc na tej wyprawie, opisywać jej nie mogę; upewniali mnie atoli koledzy, że w ręku konie prowadząc, pod kartaczowym ogniem dosiadali onych, a formując się do boju, niebotyczne zdobywali skały.

O tym czynie naszego pułku przemilczały dzieje, a kiedy ówczesne gazety i czasowe pisma, opiewały bohaterskie zdobycie Somosiera, czemuż o przejściu gór Sierra-Morena, nie uczyniły najmniejszej wzmianki?

Wszak pułk linjowy ułanów, mógł zrównać w mężtwie gwardjakom, a drobna szlachta paniczom!

Przeszedłszy z naszym oddziałem wąwozy Sierra-Morena, weszliśmy do najpiękniejszej prowincji całej Hiszpanji. Chociaż byliśmy na początku stycznia, drzewa kwiatem, a pola zielonością okryte zastaliśmy. Na obszernych równinach widać było miasta, gęste wsie, folwarki, uprawne pola, obszerne pastwiska, bydłem okryte.

Lud po niemiecku ubrany, zamiast uciekać przed nami, biegł do nas i z uprzejmością witał, pozdrawiając językiem niemieckim. Stanąwszy we wsi porządnie zbudowanej, czyli raczej w miasteczku nazwanem Karolina, dowiedzieliśmy się od mieszkańców, że w roku 1781, hrabia d'Olivares, po spustoszeniu tejże doliny przez żółtą febrę, sprowadził niemieckie rodziny i niemi cały ten kraj zaludnił. Te dotąd zachowały własny język, ubiór i zwyczaje.

Maszerując dalej pod Andujar, przechodziliśmy rzekę Guadalquivir, i w mieście Santa Fé, połączyliśmy się z naszym pułkiem wysłanym ku nam z Malagi. Przez Grenadę poszliśmy do miasta Baza, i tam z pułkiem 5-ym dragonów i 32-im piechoty linjowej francuskiej, oraz baterją artylerji,

składaliśmy komendę pod dowództwem generała Perimont.

Korpus 4-y generała Sebastianiego, chcąc utrzymać kraje nowo zajęte, w posłuszeństwie, przymuszonym został podzielić się na drobne nawet oddziały. Było nas jednak za mało; a lubo lud tamtejszy zajmując się handlem ponad morzem, i rolnictwem, był dosyć łagodnym, wszelako wzdychał za Ferdynandem VII, a o Jóżeie Bonapartem ani słyseć nie chciał: z drugiej zaś strony rząd krajowy istniejący na poblizkiej wyspie Ceuta, przez anglików podżegany ciągłemi proklamacjami, zalecał, aby naród broni nie składał i z nami się nie łączył. Nasz korpusik pod dowództwem generała Perimont, przeszło przez rok cały konsystował w mieście Baza, pomimo tego nieustanne wyprawy za ściganiem partyzantów, za sprowadzeniem żywności, pieniężnych kontrybucji, i tym podobnych potrzeb dla wojska, nie dozwalały nam spokojnego odpoczynku, po tylu doznanych trudach wojennych.

Nieraz zapasy żywności przygotowane dla nas, zabierali hiszpanie, nieraz oddawaliśmy im wet za wet. Słowem, miasto Baza było ciągłym naszym garnizonem, a za miastem tuż linja bojowa.

Baza nie jest miastem pierwszego rzędu; nie zamieszkałe przez wyższe rodziny hiszpań-

skie, opuszczona przez księży i młodzież, miała tylko starce i dzieci. Starych bawiliśmy gawędą, kobiety jak można było, a dzieci uczyliśmy mówić po polsku.

W czasie naszego pobytu w Baza, wieś Orgas, o milę stamtąd odległa, zrobiła powstanie, na czele którego stanął miejscowy proboszcz; uśmierzenie buntu niewiele nas kosztowało, chociaż zdobycie wsi było uporczywym; odtąd jednak służba nasza coraz się uciążliwszą stawała, a ciągłe alarmy i ciągła ostrożność, nie dozwalały nam chwili pokoju.

Po uśmierzeniu wsi Orgas, gdy się bandy gierylasów coraz więcej mnożyły, przedsięwzięto przeciwko miastu Kartagiena w Murcji wyprawę, którą generał Sebastiani osobiście dowodził. Pomyślny skutek uwieńczył nasze zamiary; z małą stratą opanowaliśmy miasto Kartagienę, gdzie nieprzeliczone bogactwa; armaty, amunicja, stały się naszą zdobyczą. Rozrzuciwszy fortyfikacje miasta, szczęśliwie wróciliśmy do Baza.

Podczas nieobecności generała Sebastianiego w Grenadzie, gdzie na załodze mała tylko garstka wojska naszego pozostała, pewien kanonik de Kalatrawa, odezwał się podczas nieszporu do ludu, aby korzystając z nieobecności francuzów, powstał, i garnizon złożony z garstki, ludzi w pień wyciął;

szczęściem, iż pewien roztropny mieszkaniec miasta, znając, na jakąby się miasto odpowiedzialność naraziło, doniósł o tem komendantowi placu, którego komendę swoją wprowadziwszy do Alhambry, tam się zamknął, i kanonika wziął z sobą.

Za powrotem generała Sebastianiego, sąd wojenny osądził kanonika na uduszenie na szubienicy. Tym bowiem sposobem szlachta hiszpańska karana bywa: Na rusztowaniu jest słup pod którym stoi krzesło; delinkwent siada, kat mu na szyję zakłada żelazny halstuch i staje za słupem, przez którego przechodzi szruba.

Na dany znak szrubę zakręca, i już po wszystkim. Atoli kanonika rzezonego egzekucja odbyła się z wielką ceremonją, i na placu publicznym wobec całego ludu.

Wyprowadzony z więzienia, zupełnie spokojny, postępował nawet z pewną dumą i jako zwycięzca. Wstąpiwszy na rusztowanie, po odczytaniu wyroku: „Szkoda, donośnym zawołał głosem, że nie mam więcej życia nad jedno, czemuż ich nie mam trzydzieści, a wszystkiebym wtedy poświęcił dla religji, Ferdynanda VII i Hiszpanji!“ Usiadł, szruba skrzypnęła, lud rozrzewniony padł na kolana, a wojsko przedefilowawszy, spokojnie wróciło do kwater.

W garnizonie naszym w Baza, ciągle by-

iiśmy turbowani przez różnych partyzantów, a szczególnie przez owego Saldibiasa, z którym znajomość moja do czasu mego gubernatorstwa w Maryenas się odniosła; nigdy jednak do stanowczej nie przychodziło rozprawy.

Aż nakoniec 4-go listopada 1810 roku, generał Blacke, zorganizowawszy nową armję w przewyższających siłach zajął mocne stanowisko pod Rio-Almanzor. Gdyśmy przeciw niemu wystąpili, przekonaliśmy się, że nas atakować nie myśli, jest jednak przygotowany do przyjęcia bitwy.

Wtem o godzinie drugiej po południu przybył generał dywizji Milhaud i zwołał radę wojenną, na której, gdy wszyscy prawie znajdowali pozycję nieprzyjacielską trudną do zdobycia, zwłaszcza nieodpowiadającymi siłami; gdy nadto uważano, iż w przypadku potrzeby odwrotu, ten stałby się niebezpiecznym dla nas w przechodzie przez miasto, którego mieszkańcy za broń chwyciwszy, mogliby nam wielką klęskę zadać; pułkownik Konopka od niedawnego czasu z powrotem z Francji, powstawszy z miejsca zawołał: „Pozwólcie mi uderzyć w sam środek nieprzyjaciół, a za godzinę będzie po bitwie.

Gdy generał Milhaud nakłonił się do zdania Konopki, ten wyjechał przed front pułku i zakomenderował: „flankiery naprzód, pułk

do ataku szwadronami od prawego, marsz! marsz!“. Pierwszy pluton flankierów grenadjerski był mój, wyskoczyłem z nim naprzód. Wpadłszy na baterję artylerji, przywłani kartaczowym ogniem, choć koń podemna został zabity, rzuciwszy się przez rzekę, śmiało poszliśmy do ataku.

Zagrzmiały nasze działa, odezwały się trąby i bębny, i wnet nieprzyjacielska linja bojowa w samym środku przerwaną została. Dragony, artylerja, piechota cwałem polecieeli za nami. Hiszpanie, zmieszane mając szyki, słaby odpór dawali, a wnet potem odbiegłszy armat i amunicji, rzucając broń po drodze, pierzchnęli z placu bitwy.

Noc nie dozwoliła nam długo ściagać nieprzyjaciela; stanęliśmy o milę w Kullar, a hiszpanie pozbierawszy się we dni kilka, gdy im anglicy dostarczyli armat, broni i amunicji, wnet znowu wystąpili na linję bojową, a zwycięztwo przez nas odniesione, jak zwykle żadnej nam nie przyniosło korzyści.

Wkrótce po tej bitwie, uchwalono wyprawę do Murcji czyli do Kartagieny, którą to wyprawę oddano pod dowództwo generała Milhaud.

Na dwie mile przed miastem Lorka, zdybaliśmy hiszpańską kawalerję, która z początku hardo stawiać się zaczęła. Ale lanca



w rękę ułana, straszniejszą jest bronią od maczugi Herkulesa; nie dotrzymały placu hiszpańskie szwadrony, a w rozsypce uciekających ścigaliśmy po warjacku; niczem bowiem niewstrzymani, przelecieliśmy miasto Lorka a za nim ogrody oliwne. Za temi był szeroki wąwóz, za którym w szyku bojowym, czekało na nas do trzech tysięcy kawalerji hiszpańskiej.

Dowódzca nasz kapitan Leszczyński, pędził najpierwszy, moje miejsce było obok niego, ale nie kaźden mógł zdążyć za nami. Obejrzawszy się zawołałem: stój kapitanie, lecz nie słuchał, i obydwu wlecieliśmy na most. Gradem kul obsypani, wypadliśmy nazad z ognia, jak oparzeni, a nieprzyjaciel kroku za nami nie zrobił. Wnet przybiegli nasi, a za niemi dragony.

Rozpoczął się więc ogień flankierski, który trwał aż do nocy; wtedy dopiero nadciągnęły nasze kolumny, a nam starsi należycie uszu natarli za nasze szaleństwo. Doszedłszy pod samo miasto Kartagiennę, i znalazłszy mosty porozrzucane, kanały napełnione wodą, jednym słowem, niedostępną pozycją osadzoną piechotą, wróciliśmy z niczem. Nieprzyjaciel za nami z ostrożnością postępował, i znowu pod miastem Baza, zaczął nas napastować.

Wtedy właśnie byłem świadkiem nieprzy-

jemnej awantury, która nas z korpusem oficerów francuskiego pułku, będącego z nami, poróżniła.

Wracając z wyprawy, gdyśmy już zastali na kwaterach piechotę francuską, oficer z naszego pułku Runowski, fanfaron, udający panicza, niemający gdzie koni swoich postawić, kazał ze stajni wyprowadzić konia oficera od piechoty francuskiej. Gdy się francuz za to nadużycie uraził, a Runowski niegrzecznie odpowiedział, francuski dobywszy szpady, wyzwał go na pojedynek. Ale nasz junak odmówiwszy pojedyнку, dostał płazami po plecach.

Dowiedziawszy się o tem w pułku, przymusiliśmy Runowskiego aby się pojedynkował. Strzelali się nazajutrz, i biedny francuz zabitym został. Niedługo potem panicza wyprosiliśmy z pułku, a co się z nim później stało, nie wiem.

W tymże samym czasie i ja miałem pojedynek ze Skarzyńskim oficerem z naszego pułku, którego byłbym niezawodnie porąbał, gdyby Rogojski, obudwóch sekundant, nie był moich razów parował. \*

W Baza, żywności coraz bardziej zaczęło brakować, a gierylasy nielitościwie ze wszystkich stron nam dopiekali. Postanowiono więc nową wyprawę do Murcji. Dnia trzeciego naszego marszu, nie użyto flankierów

na awangardę, wysłano zatem pluton z grenadjerskiej kompanji z podoficerem Hupko i z trębaczem. Za nimi szedł szwadron w assekuracji; dalej na czele pułku, Konopka.

Zdybany patrol hiszpańskiej jazdy na obszernych równinach, hardo stawił nam czoło. Hupko ze swojej strony zaczął z nimi politykować, wdawszy się w ogień karabinowy: co postrzegłszy Konopka, przypadł i zawołał: „Kto tu dowodzi, nie wart jeść chleba“. Zgadłem myśl pułkownika, a dobywszy szabli, krzyknąłem na trębacza do ataku. Ruszyli pędem za mną ułany, a hiszpanie umykali przed nami, pomieszani jak owce. Zaraz kilkunastu spadło z koni, resztę goniliśmy przeszło milę.

Tym sposobem pędząc uciekających, wpadliśmy pod ogrodami w zasadzkę. Ja też zatrzymałem moich zuchów, a ponieważ nas było tylko kilku, przez godzinę napróżno czekaliśmy na nasze kolumny, wykręcając się przed nieprzyjacielem jak piskorze. Wtem nadbiegł Walewski Wincenty, i Pietro porucznik, wysłani nam w pomoc z plutonem. Hiszpanie widząc nas w tak małej liczbie, poszli do ataku, dawszy wprzódy do nas ognia. Ubito podemną konia, a grenadjery nasze już się zaczęli w tył obzierać, gdy ich wstrzymał stary kapral węgier, Feldysz.

Zbiegli się do frontu, atak wytrzymali, ja zaś złapawszy za strzemię Walewskiego, uratowany dopadłem zabranego konia, pułk też nadciągnął i hiszpanie umknęli z placu.

Tą razą nie dalej doszliśmy jak do miasta Lorca. Tam pewien francuz, wpadłszy do domu hiszpańskiego, córce gospodarza krzywdę wyrządził. Ojciec z córką poszli do generała Sebastianiego na skargę, przywodząc, że żołnierz miał złoty kołnierz.

Generał zawoławszy do siebie pułkownika Konopkę, ostro go złajał, sądząc, że to był nasz ułan z złotym kołnierzem. Przytem wyrzucał pułkownikowi, że Polacy są rabusiami, gwałcicielami, przez co zmuszają mieszkańców do powstania. Konopka żywo dotknięty, kazał pułkowi wystąpić, a generał z panienką i jej ojcem nadeszli, chcąc winowajcę poznać.

Lecz skoro panna polaków obaczyła, oświadczyła, iż ten co jej krzywdę wyrządził, był francuzem a nie polakiem.

Zmieszał się Sebastiani generał, kazał piechocie francuskiej wystąpić, jakoż wnet winowajca poznanym został; był to wołyżer. Natychmiast sześciu wystąpiło grenadjerów, i pomimo próśb hiszpana i jego córki, bez sądu wołyżer rozstrzelanym został.

Pułkownik Konopka mocno urażony tym całym wypadkiem, postarał się, aby nas po-

wołano do korpusu marszałka Soulta, wskutek czego pomaszzerowaliśmy do Sewilli, i przyznam się, że ze smutkiem przyszło nam się rozstać z mieszkańcami miasta Baza.

Sześćdziesiąt mil drogi odbyliśmy forsonemi marszami, nagłeni ciągle rozkazami marszałka. Na jednej stacji przybiegł adiutant francuz, z nowym rozkazem o przyspieszenie marszu.

Zatrzymanego na obiad, przy całym prawie korpusie oficerów wielki wstyd spotkał. W tem bowiem miejscu, pułkownik Konopka z żoną, stanęli u tamecznego magnata na kwaterze, i to ich obojga mocno zdziwiło, że gospodarstwo familji swojej nam nie przedstawiało.

Pułkownikowa, ładna włoszka, zapytała o przyczynę gospodyni domu, która po długim wahaniu, wygadała się, że mają dzieci, lecz te są pochowane, z powodu, że francuzi nagadali o polakach, że są rabusiami, wszystko niszczą, a jako lud azjatycki, dzieci zjadają. Pułkownikowa rozśmiałszy się z tych baśni, uprosiła gospodynię domu o wyprowadzenie z pod strychu dzieci, które wraz z rodzicami, tak dla przekonania hiszpanów o naszych obyczajach, jako też

z powodu przybyłego adjutanta, zaprosiła na obiad.

Pokazały nam się śliczne dwie panny, i małe dzieci ładne jak aniołki. Podczas obiadu, chłopczyki wkoło stołu biegały; jeden z nich złapawszy pułkownika za szyję, ścisnął go serdecznie. Konopka wyniósłszy chłopca w górę: „Francuzi, rzekł, utrzymują, żeśmy rabusiami, niszczycielami tej krajiny, że dzieci zjadamy! Gdyby tak było, czyżby z instynktu samego, to dziecko tak się do mnie tuliło?” Francuza ledwo krew nie zalała, i prawie przytomność utracił, my zaś zmarszczywszy czoła, ostro spojrzeliśmy na niego. Pułkownikowa, dowcipna włoszka, o czem innem mówić zaczęła; wtem podano kolejno kielichy, a wesołość zastąpiła niesmak i cierpkie przygryzki. Po obiedzie adjutant odjechał, my zaś na całą noc ruszyliśmy w dalszą drogę.

Nakoniec w dzień niedzielny, z rana pokazała nam się Sevilla, owa stolica królowej Izabelli, owo miasto ze śpiczastemi wieżami, niezliczonych kościołów! Przed południem, w alejach nad rzeką Guadalquivir, uszykowany pułk, obejrzał marszałek Soult z licznym swoim sztabem. Potem przeprowadzono nas przez most, na przedmieście Trajana zwane, gdzie na trzech ulicach porządnie zabudowanych, wygodnie rozkwate-

owani, pojąć nie mogliśmy, dlaczego mieszkańcy tak się pochowali, że żadnego na ulicach widać nie było.

Ta obawa mieszkańców Sewilli, pochodziła z podobnych baśni, jakie nam opowiadano po drodze, co tak ich przerażyło, że przed naszym przyjściem, deputacja z miasta prosiła marszałka, aby pułkowi naszemu nie dano kwater w mieście, i dlatego stanęliśmy na przedmieściu Trajana. Lecz wkrótce oswoiwszy się z nami, gdy się przekonali, że się żadnego nadużycia nie dopuszczamy, łagodnie się zachowujemy, obawiać się nas przestali, i w dobrej komitywie z nami żyli.

Drugą nawet deputację do marszałka wysłali, z prośbą, aby nas przenieść do miasta, lecz pułkownik Konopka sprzeciwił się temu.

W dzień naszego przymarszu do Sevilli, marszałek Soult zaprosił na wieczór do siebie korpus oficerów naszego pułku. Naza jutrz konno oddaliśmy wizyty wyższym generałom. Ubiór nasz był piękny, konie dzielne, oficerowie młodzi i przystojni, niejednem zwycięstwem głośni; przypatrywały nam się też hiszpanki, a na nasz widok, niejednej się oczko uśmiechnęło, niejedno serduszko zapukało.

Wypocząwszy dni kilka, pułk złożony z przeszło 700 koni, odbył za miastem ma-

newra, a szybkością ewolucji, zwinnością koni, i fechtowaniem lancą, wszystkich widzów zachwycił.

Karmieni, pojeni do sytości, płatni regularnie, na wygodnych kwaterach o wszystkich zapomniawszy trudach, byliśmy szczęśliwi, a nie wiedząc co się wkoło nas dzieje, sądziliśmy, że tak zawsze będzie. Już upłynęło dni dziesięć jakieśmy błogie życie prowadzili w Sewilli, gdy wieczorem podczas kolacji, na której spijaliśmy doskonały Xeres, daje trębacz apel na sierżantów od służby.

Wtem wypada Jagielskiemu łyżka z ręki, zbladł jak trup i zawołał: „ja na tej wyprawie zginę“. Ruszyliśmy się do butelek i do koni, a ja wzięwszy dwie butelki Xeresu, do kieszeni w rajtuzy, ruszyłem do Jagielskiego.

Był on podoficerem od flankierów, a jako dobry chłopiec i tęgi żołnierz, lubiany od wszystkich. Zastałem go rozciągniętego na łóżku w rozpacz, i gdym się o przyczynę pytał, odpowiedział, że rychłą śmierć swoją przeczuwa.

Pułk już był wystąpił, gdy Jagielski zbliżywszy się do mnie na koniu, prosił, aby od flankierów mógł do kampanji powrócić; co gdy zameldowano kapitanowi Leszczyńskiemu, ten na to zezwolił. Poczem ruszyliśmy w pochód.



Maszerując noc całą, niewiedząc dokąd i poco, z rana dopiero spostrzeżliśmy, że cała armja poszła naprzód; my tylko z 10 pułkiem huzarów francuskich formujemy arjergardę. Zaczęliśmy szemrać wyrzekając, iż naszym podobno przeznaczeniem zbierać podkowy. Powoli też i wino się wypilo, mięso się psuło, suchary twarde nie smakowały, koniom furaz ciężył, a przechodząc przez wsie i miasta, nigdzie nie znajdowaliśmy mieszkańców. Czwartego i piątego dnia naszego pochodu, głód i pragnienie zaczęły nam dokuczać, a nieprzyjaciela jeszcze widać nie było.

Dnia 15 maja 1811 r., po południu przyszedliśmy pod las rozległy i gęsty, przez którego dragony poszli w rozsypkę, a my środkową drogą. Za lasem ujrzeliśmy wioskę Albuhera, leżącą na prawej stronie rzeki tegoż nazwiska, na której był most. Za rzeką wzgórze ciągnące się aż do ogromnego pasma gór skalistych, a na tej pozycji ogromne kolumny piechoty, czarne masy kawalerji i artylerji, przed którymi łańcuch placówek i sztyldwachów. W tem słońce zachodzić zaczęło, a my stanawszy obozem, rozłożyliśmy ogniska.

Ze wszystkiego złego dla kawalerzysty, to najgorsze, kiedy koń zmęczony z głodu i pochodu. Właśnie nad tem dumałem przy ogni-

sku, gdy przyszedł rozkaz, aby skoro świt, paradnie wystąpić. Zjadłszy z kolegami kawałek schabowiny zepsutej i wypiwszy po kieliszku araku, zasnąłem spokojnie. Wtem nadedniem 16 maja, zatrąbiono pobudkę; zerwałem się co żywo, i już stałem na czelach moich zuchów, kiedy, plutonami od prawego, odłamałem się! zażomenderowano.

Podczas gdy defilowaliśmy około stojącego marszałka, słońce wschodzić zaczęło.

Pułkownik krzyknął: „Flankiery naprzód!”

Przebiegając koło niego, usłyszałem rozkaz: „Broń na smycz, żwawo na lewo koło mostu, wpływ przez rzekę, uderzyć na nieprzyjaciela!”

Plutony przebiegały galopem, a ja zatrzymawszy się jeszcze na chwilę, słuchałem dalszych rozkazów; wtem pułkownik krzyknął na mnie po francusku: „czyś głuchy?”

W oka mgnieniu zwróciłem ognistego kasztana i pierwszy rzuciłem się w rzekę. Koło mostu widzieliśmy siedzących minierów.

Przeplłynawszy, zformowałem pluton, co też za mną Rogojski uczynił, poczem uderzywszy na szwadron dragonów londyńskich, w puch ich rozbiliśmy.

Wyskoczyły przeciwko nam dwa inne szwadrony, a my cofając się w porządku, ujrzeliśmy za sobą w assekuracji Leszczyń-

skiego, na czele dwóch drugich plutonów flankierów, za rzeką zaś pułk się formował.

Zwróciwszy się, uderzyliśmy znowu na anglików, i dwa szwadrony postępujące za nami rozbiliśmy.

Dopiero gdy wyszła przeciwko nam na-  
zbyt przewyższająca siła, poczęła się w roz-  
sypce utarczka. Każdy z nas walczył  
z kilkoma, a walka ta nierówna już pewny  
czas trwała, gdy artylerja nasza stanawszy  
na pozycji, zaczęła anglików prażyć, którzy  
pobojowiska trupami zasłanego nam usta-  
pili.

Porzuceni na straconą pocztę, pomieszani  
z przemagającym nieprzyjacielem, zbiegamy  
się z Rogojskim: „Piotrze, wołam, nie masz  
tam czego się napić? ten porywa flaszkę,  
a sam wypiwszy, mnie podaje.

W tej samej chwili, kiedy krzepię siły,  
przelatuje pomiędzy nami kula armatnia, nie-  
zgrabnie wymierzona przez naszego kanonie-  
ra, która o włos że nas obydwóch nie sprzą-  
tneła.

Anglicy widząc, że nam nikt pomocy nie-  
daje, po raz trzeci przypuścili na nas atak.  
Gdyśmy zaś spostrzegli, że się nasza asse-  
nuracja cofnęła i pułku na tamtej stronie  
k'ie widać, zawołałem na Rogojskiego oby-  
czem prędzej rzekę wpław przechodził  
i z drugiego brzegu dał ognia.

Na moje nieszczęście, nad brzegiem błotnistym rzeki, koń się wywraca pod kapralem z plutonu Rogojskiego, co ich przeprawę na chwilę wstrzymuje; tymczasem okryty chmurą Anglików, 14 ludzi z mojego plutonu straciwszy, szablą w rękę sobie toruje drogę, a rzuciwszy się w rzekę, szczęśliwie na drugi brzeg przepływam.

Na tamtej stronie przebiegł Skrobicki Piotr, adjutant pułkowy, z oznajmieniem, że trzeci raz przywozi rozkaz cofania się, a my go nie słuchamy.

Wnet po nim nadjechał szef Kostanecki gderając: „otóżto szlachta polska, szabelką wywijać, śmierć połykać, a rozkazów nie słuchać“. Wytłómaczywszy się przed szefem, iż żaden rozkaz do nas nie doszedł, ruszamy za nim, aż patrzę iż mój kasztan ciągnie za sobą nogę. Poczciwe stworzenie, chociaż ranne ocaliło mi jednak życie.

Przechodząc ponad rzeką przez te miejsca, gdzie z początku bitwy pułk nasz stał uformowany, spostrzegamy nagiego trupa; był to biedny nasz Jagielski: pierwszą kulą trafiony, znalazł śmierć, którą sobie wyróżył.

Straciliśmy w tej smutnej wyprawie, kapitana Leszczyńskiego; przeszyty kulą na wylot, umarł w kilka dni później i pochowany w mieście Llerena.

Połączywszy się z pułkiem, zastaliśmy hiszpanów, portugalczyków i anglików, pod dowództwem marszałka Beresford, już w szyku bojowym. Nieprzyjacielska armia opierała lewe skrzydło o wieś Albuhera, ciągnąc linię swoją ponad wzgórzami dosyć stromymi od Santa-Martha, i coraz to zniżającemi się od strony Olivenca i Badajoz.

U stóp tej pozycji, płynęła mała rzeka Albuhera. Prawe skrzydło zajmowali Anglicy, portugalczyki i Hiszpanie środek, i lewe skrzydło. Marszałek Soult, rozpoznawszy stanowiska nieprzyjacielskiej armji, przekonał się, iż ze szczupłemi siłami swojemi niepodobna mu będzie wszystkie punkta razem atakować.

Umyślił zatem nierozdzielając sił swoich, masami działać.

Generał Godinot dostał rozkaz opanowania wsi Albuhera mocno przez Hiszpanów obsadzonej, a piąty korpus mając na swoim czele generała Girard \*), miał uderzyć na Anglików, czyli na prawe skrzydło nieprzyjacielskiego wojska; generał Latour-Maubourg

---

\*) Dowódzca korpusu V-go marszałek Mortier, był za urlopem we Francji, a generał Erlon mający go zastępować, nie był jeszcze przyjechał.

w trzy tysiące kilkaset kawalerji powinien go być wspierać, i po opanowaniu pozycji nieprzyjacielskiej, ścigać rejterujących się anglików.

Cały ten obrót miał się uskutecznić pod asekuracją artylerji francuskiej, będąc pod dowództwem generała Ruty. Jedną zaś baterję zostawiono do dyspozycji generała Godinot. Ta więc baterja 16-go maja rozpoczęła bitwę.

Już Godinot był przeszedł rzekę, i we wsi Albuhera morderczy rozpoczął ogień, już Girard uderzywszy z natarczywością na prawe skrzydło nieprzyjacielskiej armji, zmusił anglików do wolnego i porządnego odwrotu, którym ciągnąc się ku środkowi, nie cofać się, ale wzmocnić tylko chcieli. Postrzegłszy ten obrót marszałek Soult, rozkazał pułkowi naszemu z boku na nich uderzyć.

Poszliśmy do ataku, a mając szeroki wąwóz do przebycia, przebywając go i formując się w oczach nieprzyjacielskiej linji, wpadliśmy na nią szwadronami.

Rozbiwszy trzy pułki piechoty angielskiej, zabraliśmy im 1000 niewolnika i sześć armat, a odparłszy atak londyńskiego pułku dragonów, któren nas chciał oskrzydlić, w porządku wróciliśmy na dawne miejsce.

Przez ten czas generał Godinot bijąc się

ciągle w Albuhera, ze wsi jednak niezdolał jeszcze wyparować hiszpanów, generał zaś Girard z bagnetem w rękę, masami opanował pozycję przez anglików zajmowaną.

Pierwsze to powodzenie, drogo jednak okupionem zostało; mieliśmy bowiem dwóch generałów zabitych, trzech rannych \*), a były bataljony, w których ani jeden niepozostał oficer. Po tym pierwszym ataku, 5-ty korpus miał się rzucić na drugą i trzecią linię nieprzyjacielską; taki był bowiem rozkaz marszałka, ale nie było już komu go wykonać.

Piechota zatem nasza schodząc z zajętej pozycji zaczęła się cofać, a Anglicy zaczęli za nią postępować.

Już bitwa dla nas przegrana być miała, gdy generał Ruty, zabrawszy całą artylerję, morderczy rozpoczął ogień, którego trwając przez godzin kilka, ogromne straty w szeregach nieprzyjacielskich poczynił. Już się był generał Godinot z pod Albuhera cofnął, gdy marszałek Beresford, spostrzegłszy stagnację w naszych poruszeniach, całą swoją

---

\*) Pod Albuhera, zginęli generałowie Werlé i Pepin, zabitych i rannych mieliśmy do 6,500, strata zaś ze strony nieprzyjaciela dochodziła do 10,000.

piechotę chciał na nas rzucić, dla rozstrzygnięcia losu bitwy.

Spostrzegłszy to marszałek Soult, przybiegł przed front naszego pułku i zawołał; „Pułkownik! ratuj honor Francji“. Gdy Konopka zakomenderował do ataku, wpadliśmy na nieprzyjaciela, którego w samym marszu wstrzymawszy na chwilę, daliśmy czas generałowi Latour-Maubourg do posunięcia się naprzód, i zniweczenia zamiaru tak szkodliwego dla nas.

Anglicy w swoich raportach donosząc o batalji pod Albuhera, o naszym pułku temi nadmieniają słowa: „Polacy zaczęli tę bitwę, utrzymali, i z największą chwałą zakończyli“.

Tu się też zakończyła długa nasza pokućta za utracone pod Jovenes sztandary. Pułkownik przedstawionym został na generała, a my dostali jedenaście krzyżów legji honorowej na nasz pułk, z których i innie się nakoniec dostał, za utratę trzech koni zabitych podemną, będąc prócz tego pałaszem cięty i przestrzelony. Straciliśmy w pułku pod Albuhera pięciu oficerów zabitych, jedenastu rannych, i ze dwustu żołnierzy rannych i zabitych.

Po bitwie pod Albuhera, armia francuska z 17 na 18 maja przybyła do Solano, dwudziestego do Fuente-del-Maestro; dwu-



dziestego drugiego do Ribeira, a czwartego do Llerena. Anglicy odstąpili od oblężenia miasta Badajoz; a Lord Wellesley, objął całej armji nieprzyjacielskiej dowództwo.

Pochowawszy zabitych i pozbierawszy rannych, dopiero dnia trzeciego po bitwie, obie armie opuściły plac pobojuwiska.

Nasi zniósłszy rannych do poblizkiego lasu, tam ich bez opatrzenia, żywności i ratunku zostawili. Jak kto mógł, tak się ratować musiał.

Będąc sam dwa razy ranny, na koniu o trzech nogach, straciwszy wszystko co miałem, przy pomocy francuskiego dragona, któremu na placu bitwy odcięto prawą rękę, przez dziewięć dni maszerując wśród kraju zamienionego w pustynię, przybyliśmy nakoniec do przewozu na rzece Gvadalquivir.

Tam dostałem się z wielką trudnością na drugą stronę rzeki, którą tak obleżoną zastałem przez rannych różnego stopnia i marderów; odtąd pochód nasz już był mniej przykrym i utrudzającym, opatrzeni bowiem wszędzie w kwatery, dostaliśmy się nakoniec do Sewilli, gdzie nas umieszczono w lazarecie, założonym za miastem przez królowę Izabellę.

Chociaż budynek ten ogromem swoim zadziwiał, jednak nas pomieścić nie zdołał,

szczególniej po bitwie pod Albuhera, a korytarze nawet zalegały rannymi.

W Sewilli znalazłem wielu rodaków, szczególnie z 7-go pułku piechoty księstwa Warszawskiego. Tam złączyłem się z walecznym naszym szefem szwadronu Huppet, którego dowiedzawszy się o moim przybyciu, kazał mnie natychmiast do lazaretu przynieść; a powziąwszy wiadomość od doktorów, iż byli za odcięciem mi prawej ręki, i wstrzymywał ich tylko nadzwyczajny mój stan osłabienia, ulokował mnie w swoim osobnym pokoju, w lazarecie, gdzie wesołym humorem i rzadką wytrwałością do cierpliwości w cierpieniach, zachęcał.

Zamknięci w szpitalu, pod bokiemi miasta opasanego murem, z bramami mocno strzeżonemi i tam nawet ranni bezpiecznemi nie byli. Jednej bowiem nocy pogodnej, partja gierylasów przeciągnawszy około lazaretu, napada na straż u bramy stojącą, pochwycała oficera z całą wartą, a gdy ich prowadziła przed naszymi oknami, widzieliśmy, jak szturgano, popychano te niešťęśliwe ofiary. Ten widok przeraził wszystkich, a obawa aby nas kiedy nie wymordowano, odtąd nam pokoju nie dawała.

Tą myślą przejęci, jedni przygotowali broń ku obronie. drudzy z bojaźliwych żartowali, gdy pewnej nocy, żołnierz francuski lekko

ranny, wypatrzywszy, iż sąsiad jego mocno ranny ma bogaty zegarek, skoro się w sali uciszyło, wyciągnął mu go z pod poduszki. Właściciel zegarka obudziwszy się raptem, zawołał przeraźliwie: „łapaj złodzieja“!

Każdemu z nas ze snu przebudzonemu zdawało się, że wołają do broni. Dalej więc uciekać. Sztukanie po korytarzach na kulach, lub szcudłach chodzących, wszak i jęki poprzewracanych na schodach, zagłuszały wszystko.

Nie można było słyszeć czy warta strzela, ani wiedzieć co się po za lazaretem dzieje, gdy tymczasem do każdych drzwi się dobijano. Ja z Huppetem zatarasowaliśmy drzwi nasze, przygotowaliśmy szable, z mocnem przedsięwzięciem bronienia się do ostatka. Aż nakoniec dzień zaczęło, i rzecz cała się wykryła.

Smutna ta pomyłka drogo nas kosztowała; znaleziono bowiem umarłych, po korytarzach, schodach, po kloakach, pod strychem, nawet na dachu. Żyjących zaś trudno było nazad sprowadzić i do zdrowia przywrócić.

Wielu też korzystając z okoliczności, umykać z lazaretu zaczęło. W tych liczbie i ja byłem, a namówiony przez Trzebuchowskiego, umknąłem do pułku, gdzie mnie sztabowy nasz lekarz Rörých z niebezpie-

czeństwa wyprowadził, ale do zdrowia nie przywrócił.

Po bitwie pod Albuhera, korpus nasz cofnął się do miasta Llerena, gdzie spoczywają zwłoki kapitana Leszczyńskiego, Sabo i Mikołowskiego. Wnet po naszym tam przybyciu, nadciągnął korpus marszałka Marmon-ta, niby nam w pomoc przysłany. Poczem posuwając się za anglikami, dotarliśmy aż do fortecy Olivenca w pobliżu Badajoz, na granicy portugalskiej, leżącej. Tam pułk nasz, utraciwszy w niewolę wziętego oficera Skarzyńskiego, wrócił do Sewilli, skąd pułkownik Konopka szczątki tego pułku za-ledwo z dwustu ludzi złożone, dniem i nocą poprowadził przez Grenadę do Baza, gdzie zwycięstwo nowe odniósłszy, powtórnie do Sewilli powrócił.

Przyszła też nominacja pułkownikowi Konopce na generała. Szef Huppet na szczydłach do Francji powrócił, a szef Kostaneczki dla słabości zdrowia, opuścił Hiszpanję. Przysłano zaś na dowódzcę naszego pułku majora Dębińskiego. Ranni, wyleczeni wrócili do służby, i pułk z czterechset koni złożony wyruszył ku Badajoz.

Trudno mi spamiętać nazwiska tej pozycji, którą zajmowaliśmy ponad rzeką rozpołożeni, oko w oko patrząc sobie z anglikami; było to wszakże po łąkach w roku 1811.

W całej okolicy wielki był niedostatek wszystkiego, furazu trzeba było szukać daleko. Co noc występowano do broni, a po rozstawieniu placówek i wysłaniu patrolów, konie w wiosce mieszczono; gdzie jak kto mógł, tak się żywił.

Dnia pewnego, angielska kawalerja spędziła nam placówkę. pułk wystąpił do boju, i pomimo nieprzyjacielskiej przemagającej siły, wspierany armatnim ogniem, długo się jej opierał. Nakoniec spostrzegliśmy, iż armia nieprzyjacielska postępuje ku nam; lekając się zatem oskrzydlenia, dzień cały cofaliśmy się w największym porządku. Połączwszy się z piechotą, rozdano wojsku żywność, ale w tak małej ilości, iż na czterech oficerów dostało się po bułce chleba, którą zjadłszy z czosnkiem i popiwszy wodą przez całą noc nie przestaliśmy się cofać.

Nad rankiem stanęliśmy w Berlanga, gdzie nasza piechota i artylerja mocną zajęły pozycję. Stamtąd przed zaczęciem bitwy wyprowadzono rannych i chorych do Kordowy, kędy i mnie mocno chorego wysłano.

Gdy doktorowie uznali, iż długiej potrzebuje kuracji, nim będę mógł wrócić do frontowej służby; uzyskałem pozwolenie opuszczenia Hiszpanii, i udania się do Francji do miasta Sedan, gdzie był zakład naszego pułku. Lecz na to trzeba było czekać okazji

czyli eskorty, do odprowadzenia furgonów, więźniów i skarbów zabranych, a ponieważ to się nieczęsto zdarzało, oczekiwanie moje musiało być długie.

Zaraz po bitwie pod Berlanga, bez żadnej korzyści stoczonej, przyniesiono do lazaretu w Kordowie Piotra Rogojskiego, na flankierach na wylot obok samego serca przestrzelonego. Lekarze obejrzawszy ranę jego osądzili ją być śmiertelną, jednak pomimo ich zdania, Rogojski się wygrzebał i dotąd żyje, zdrow i czerstwy.

Przyszedłszy cokolwiek do zdrowia, odkomenderowany zostałem do Jaen, do odebrania dla pułku koni w rekwizycję zabranych.

Wtem przyszedł rozkaz z oznaśmieniem, że pułk dostaje za dowódcę pułkownika Stokowskiego z gwardji Krasieńskiego, i że ten z dwoma szwadronami, oczekuje na nas w mieście Vittoria, skąd połączywszy się z całą legją Nadwiślańską, mamy się udać przez Francję do Polski.

Na tę wiadomość o mało że kaźden z nas z radości nie oszalał.

Ruszyliśmy do Kordowy gdzie zaledwo połączeni z pułkiem, odebraliśmy przeciwny rozkaz, aby dniem i nocą pospieszać w pomoc oblężonej przez anglików fortocy Badajoz. Dowiedzieliśmy się zarazem, że lord Wellesley przeważne odniósł zwycięztwo nad

marszałkiem Marmontem, i że fortecę Badajoz, którą marszałek Mortier po całorocznem oblężeniu zaledwo zdobył, anglicy usiłują nam koniecznie odebrać. Westchnąwszy zatem głęboko, ruszyliśmy ku Badajoz.

Przymaszerowawszy pod Albuhera, zastaliśmy nieprzyjaciela rozłożonego na tych samych pozycjach, które zajmował podczas bitwy tam stoczonej. Równy ze świtem, jużśmy się szykowali do boju, aż tu ani jednego anglika nie masz; dalejże więc gonić za niemi. Przymaszerowawszy pod Badajoz, już tam nie znaleźliśmy anglików. gdyż w wilią naszego przymarszu, od oblężenia odstąpili.

Wróciwszy stamtąd rozłożyliśmy się garnizonami w Sewilli, w Jaen, Baza, w Grenadzie, Maladze i Kordowie. Ale zaledwieśmy dni kilka na miejscu odpoczęli, przychodzi znów rozkaz, ażeby dniem i nocą pośpieszać ku Badajoz, dokąd skorośmy znów przybyli, nie znaleźliśmy powtórnie anglików. Widoczną zatem było rzeczą, iż nieprzyjaciel marszami i kontrmarszami chciał nas wyniszczyć.

Gdy później poraz trzeci odebraliśmy rozkaz śpiesznego pochodu ku Badajoz, nimeśmy zdążyli fortecy na pomoc, już ta szturmem zdobytą została. Zdobyć tej fortecy przez anglików, było wielką dla nas klęską; tam

bowiem prócz ogromnych magazynów żywności i potrzeb wojennych, utraciliśmy wielkiego kalibru armaty, umyślnie tam odlewane, a służyć mające do bombardowania Kadyxu.

Z obozu pod Ginneta, wyprawiono konwój do Francji, do którego przyłączony zostawszy, opuściłem pułk 6 października 1812 roku. Smutno mi było po raz pierwszy z kolegami się rozstawać; myśl tylko powrotu do kraju była jedyną moją pociechą.

W głównej kwaterze taki był natłok chcących opuścić Hiszpanię, że rozkazano lekarzom każdego rewidować, stan słabości opisać, i tylko rzeczywiście niezdatnym do służby i kalekom, wydawać marszruty. Uzy skawszy takową, w towarzystwie kapitana od strzelców konnych, z bogalej familji w Paryżu zamieszkałej pochodzącego, ruszyliśmy w góry okrążające prowincją Walencją. Przeszedłszy owe góry, ujrzeliśmy się w kraju, któren śmiało ziemskim rajem nazwaćby można.

Kraj piękny, urodzajny, wszędzie lud ochędożnie ubrany, czerstwy i wesoły, w pośród drzew owocowych, około uprawy roli pracujący. Wszędzie domy porządne, w których wygodne znajdowaliśmy kwatery, przyjmowa-



ni uprzejmie, z wielką gościnnością, i do sytości karmieni \*).

Nigdzie ani wzmianki o partyzantach, o rozbojach po drogach, o niebezpieczeństwie w podróżach.

Wszędzie opieka rządu i sprawiedliwość, wszędzie też imię marszałka Soult wspomnane ze czcią i uszanowaniem.

Klimat umiarkowany, od północy zasłonięty górami, od południa Śródziemnem morzem oblany.

Pomiędzy drzewami okrytymi doskonałymi owocami, walencjanie sieją ryż, kukurydzę i inne zboża. Skoro jedno zbiorą, natychmiast drugim zasiewają pola, do polewania zaś pól lub ogrodów, mają w kanałach wodę, którą za pomocą śluz zatrzymują lub wypuszczają, stosownie do potrzeby.

Miasto stołeczne Walencję znaleźliśmy schludne, domy w niem porządne i wygodne ulice szerokie, kościoły i gmachy publiczne wspaniałe, place obszerne, liczne sklepy napełnione bogatymi towarami, ruch mieszkańców wielki. Był to właśnie dzień niedzielny, książę Dalmacji otoczony licznym sztabem,

---

\*) W wielu miejscach w Hiszpanji, konie karmią tak nazwanymi świętojańskimi różkami.

<sup>1</sup> żona jego w towarzystwie pięknych kobiet udali się do świątyni pańskiej na nabożeństwo:

Duchowieństwo, władze miejskie, i lud zgromadzony, z radością witali marszałka, przed którym po nabożeństwie, wojsko składające miejscowy garnizon, przedefilowało na rynku przy odgłosie muzyki. W Walencji połączyłem się z Piotrem Rogojskim, a wyrobiwszy mu marszrutę, ruszyliśmy razem w dalszą drogę. Przebywszy Arragonją, dostaliśmy się do Saragossy, czyli raczej do rozwalin tego bohaterskiego miasta.

W całym mieście nie było jednego domu, którego by nie nosił na sobie piętna wojny. Wokoło miasta ogrody wycięte lub spalone, ziemia leżąca odłogiem, a w środku niej Saragossa, jak pomnik wśród cmentarza z napisem: „wytrwałość i męstwo!“

Znaleźliśmy w Saragossie rodaka Suligowskiego, oficera od piechoty, którego ożeniwszy się z Hiszpanką, wziął dymisję i tam pozostał. On nas zapoznał z rodziną żony, u której, uczęszczając podczas naszego pobytu w Saragossie, słyszałem oddawane przez mieszkańców pochwały talentom wojskowym marszałka Moncey; Sucheta z uwielbieniem wspomniano, a generała Chłopickiego i pułkownika Klickiego nazywano bohaterami.

Stary ksiądz kanonik, stryj żony Suligow-

skiego, zapytał nas jednego razu: „Dlaczego polacy tej samej religji co hiszpanie, są jednak ich nieprzyjaciółmi? Czyśmy kiedy wasz kraj naszli, wasze mienie zabrali, wasze znaczenie zniszczyli? Powiedzcie otwarcie, dlaczego się tak ślepo za cudzą sprawę poświęcacie? Nie możecie się pomieścić wygodnie na waszej ziemi, szukacie u francuzów chleba? to przyjdźcie do nas, i my wam chleba damy, i będziecie braćmi naszymi.“ Trudna była odpowiedź na wyrazy prawdy wyrzeczone przez starca; westchnąłem głęboko, a westchnienie moje może i on zrozumiał!

W Saragossie czekaliśmy, aż się zbierze cały konwój wysłany do Francji, któren skoro się sformował, ruszyliśmy w drogę. Ranni generałowie dowodzili plutonami, a oficerowie z których niektórzy tak byli słabi, że się do siodeł na koniach przywiązywać kazali, stanęli w szeregach; zresztą, kto jak mógł tak się zabierał do tej niebezpiecznej przez góry Perpignanu przeprawy. Do eskorty mieliśmy oddział wojska.

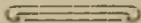
Sławny partyzant Mina, w tych górach że tak powiem panował, jemu płacono za karty bezpieczeństwa, a on konwoje jak mu się podobało, albo przepuszczał, albo do niewoli zabierał. Byliśmy przeto w jak największej obawie, ażeby się z partyzantami nie spot-

kać, bo chociaż w porządku maszerowaliśmy w przypadku napadu, nie mogliśmy jak tylko słaby opór stawić.

Po trzech dniach naszego przez góry przemarszu, podczas którego koczowaliśmy pod gołym niebem, dnia czwartego stanęliśmy szczęśliwie na ziemi francuskiej.

Tu się dla mnie zakończyła kampania hiszpańska; a lubo pułk mój w Hiszpanji jeszcze pozostał, opisywać czynów, których świadkiem nie byłem, nie powinienem i nie mogę.

Dla tejże samej przyczyny przemilczeć muszę o wielu oficerach z naszego pułku, którzy rozsypani po różnych miejscach półwyspu, na chlubną wzmiankę w dziejach wojennych zasługiwaćby mogli. W tych liczbie pierwsze trzymają miejsca: Kazimierz Tański, który przy końcu kampanji hiszpańskiej, dowodził nowosformowanym pułkiem 4-tym piechoty legji Nadwiślańskiej, i Wojciech Dobiecki, który przy pierwszym szturmie Saragossy, był w naszym pułku porucznikiem. Z miasta fruncuskiego Pau, dostawszy dla siebie i Rogojskiego dalszą marszrutę i zarazem adres towarzysza naszej podróży kapitana francuza, ruszyliśmy przez Bordeaux do Paryża.



W porze jesiennej 1812 roku, odbywając podróż konno przez Francję, mocnośmy od deszczów ciągłych ucierpieli; sprzedawszy zatem na pół darmo nasze konie, wsiedliśmy do dyliżansu i stanęliśmy szczęśliwie w Paryżu.

Najsamprzód z adresem w ręku poszedłem do naszego znajomego kapitana, który nas przyjąwszy uprzejmie, oprowadził po całym mieście. Z nim zwiedziliśmy pałace cesarskie, wszystkie teatry, ogród botaniczny, menażerję, muzea i gabinety, place, ogrody, mosty na Sekwanie.

Obejrząwszy wszystko, udaliśmy się do generała intendenta, dla uporządkowania naszych papierów i zaległego żołdu. Generał intendant, starszy, już wiedział o naszym dość długim pobycie w Paryżu; wyłajawszy nas żeśmy tak dużo czasu bez pozwolenia w stolicy stracili, rozkazał nam udać się na-

tychmiast do zakładu w Sedan, dodając, że jeżeli zaraz jego rozkazów nie dopełnimy, przez żandarmów każe nas przetransportować.

Tego samego więc dnia zamówiwszy miejsca w dylizansie, ruszyliśmy do Sedan, gdzie nam żołd nasz zaległy wypłacić miano.

W Sedan, kędy zakłady całej legji Nadwiślańskiej konsystowały, zastaliśmy Huppeta, który zostawszy majorem, dowodził zakładem pułku naszego. Zakładem pułku 8-go ułanów, dowodził pułkownik hrabia Tomasz Łubiński.

Kapitanem ubiorczym całej piechoty był Pozarzecki, a naszym kwatermistrzem kapitan Belleville. Ten miał dwie córki; ze starszą, Estellą, dosyć przystojną, ożenił się nasz Huppet, lecz nieszczęśliwy w małżeńskim pożyciu, wnet się z nią rozwieść musiał. Zaległości żołdu naszego odebrał był komisant Pizulaga, a nam go nie wypłacił, i pomimo późniejszych reklamacji rządu Królestwa Polskiego, święta ta należność przepadła.

Przy końcu stycznia 1813 roku, dostawszy rozkaz od ministra wojny, udania się czemprędzej do Poznania, dla cdebrania rekrutów przeznaczonych do pułku naszego, natychmiast puściłem się w drogę.

W Lipsku zastałem główną kwaterę vice-

króla włoskiego. Wyrobiwszy sobie rozkaz udania się do komendy z naszego pułku, będącej pod dowództwem pułkownika Stokowskiego, w korpusie kawalerji generała Latour-Maubourg, ruszyłem do Dessau. Tam przybywszy, przedstawiłem się generałowi, którego mnie sobie przypomniał i na adjutanta zatrzymał. Kupiłem też w Dessau piękną klacz Meklemburską.

W ciągłym będąc ruchu, rozwożąc generała mego rozkazy po różnych stronach Niemiec, napotkałem na końcu oddział naszego pułku znajdujący się pod rozkazami kapitana Rybałtowskiego; tam znalazłem porucznika Józefa Bogusławskiego i Luziniana, dawnych kolegów moich.

Radość moja była wielką, a wróciwszy do generała Latour Maubourg, prosiłem go o pozwolenie połączenia się z komendą naszego pułku. Zmarszczył się generał, ale gdym oświadczył, że sztabowej służby nigdy nie pojmem, bom nawykł służyć w polu, a mając jednego tylko konia, nie wystarczę na ustawiczne posyłki; nakoniec, że mam zrujnowane zdrowie wskutek odniesionych ran w Hiszpanji, uwolnił mnie od siebie.

Tym nierozważnym krokiem, utraciłem udział w nagrodach przysłanych przez cesarza dla sztabu generała mego. Przybywszy do komendy, znalazłem, że ta się skła-

da zaledwie z 60 ludzi, i jest wcielona do pułku złożonego ze szczątków całej lekkiej kawalerji francuskiej, czyli motłochu bez żadnej karności i porządku, pod dowództwem pułkownika du Cotlosquet.

Drugiego dnia mojego przybycia, wypadła nam potyczka dosyć żwawa. Tam, kędy droga z Magdeburga się rozdziela, po lewej stronie stanęła lekka nasza kawalerja, dwa bataljony włoskiej piechoty, 4 y działa. Piechota w czworobokach z artylerją, zajęła pozycję na polach błotnistych, rowami w różnych kierunkach poprzerzynanych. Kawalerja rozstawiwszy mocne pikiety z oficerem od huzarów, w małej wiosce rozlokowała się na wypoczynek.

Na drodze na prawo o małą ćwierć mili, stanęła kawalerja z baterją pozycyjną i piechotą. Z rana około 10-ej godziny, na naszym prawem skrzydle odezwały się działa. Wystąpiliśmy czempredzej i ujrzeli nasze placówki umykające i pomieszane z czarnymi huzarami pruskiemi. Cofnęliśmy się za wieś i uszykowali w linji za rowem, ale pruskie huzary poza wsią obiegłszy, i poblizkie wzgórze konną artylerją zajmawszy, już nas oskrzydlać zaczęli.

Postawiono Bogusławskiego z plutonem na jednym miejscu, mnie na drugim, rów zaś był szeroki i głęboki. Kiedy huzary za



przybyciem więcej kawalerji i artylerji, zabierali się do ataku, pułkownik nasz zakomenderował na pierwszy szwadron: „formuj kolumnę ściśniętą“; i cofnąwszy się, odsłonił nasze działa i piechotę.

Ale nieszczęsny ten obrót w oczach nieprzyjaciela wykonany, narobił i hałasu i nieporządku w naszych sztykach, z czego korzystając pruska artylerja dała ognia, a kawalerja rzuciła się na mostek przezemnie broniony.

Wprawdzie ułani moi przywitani ją rzesistym ogniem, ale niemogąc się oprzeć premagającej sile, drapnęli z pola. Pędząc przez pola, od huzarów ścigani, w tę stronę zmierzałem, z której huk armatni słyszeć się dawał i wnet dostałem się na wzgórek, gdzie znalazłem vice-króla włoskiego z całym swoim sztabem.

Tymczasem owe dwa bataljony włoskiej piechoty o których wspomniałem, otoczone przez chmurę kawalerji pruskiej, pomimo nalegań aby broń złożyły, uformowały się w czworobok, i do samej nocy na pozycji dotrzymały; wtedy dopiero mając generała na swoim czele, nieutraciwszy ani jednego żołnierza, ocaliwszy nawet niejednego kawalerzystę, w liczbie których był nasz Rybałtowski, zwolna do obozu wrócili.

Co się zaś tyczy naszego pułku, wtedy,

gdy na mnie na mostku szarżowali huza-  
rzy, pierzchnął z placu, a niewiedząc dokąd  
ucieka, wpadł na pułk nieprzyjacielskiej ja-  
zdy; ta sądząc, że to śmiała szarża, przed  
uciekającymi, uciekła. To widząc pruska pie-  
chota i artylerja, również cofać się zaczęły,  
gdy jednak w odwrocie swoim, przywiwały  
nasz pułk rzesistym ogniem, nuż wtedy na-  
sze przypadkowe zuchy uciekać kaźden  
w swoją stronę. Pułkownik wydobywszy  
się cały z tego popłochu, zaraportował vice-  
królowi włoskiemu, iż winą tego nieszczę-  
snego wypadku są ułani polacy, którzy ko-  
lummy jego nie umieli zasłonić. Nic nam je-  
dnak za to nie powiedziano, kaźden bowiem  
wiedział jak się rzecz miała. Po tej po-  
tyczce, cały nasz korpus pomaszerował na  
Magdeburg.

Ostatnich dni kwietnia 1813 roku, pułki  
nasze wzmocnione zostały; poczem od rzeki  
Saali i miasta Mertzburga, rozpoczęliśmy  
nasze operacje militarne, postępując za nie-  
przyjacielem. Wtem pewnego dnia, gęste  
z dział wystrzały oznajmiły nam, że Napo-  
leon z posiłkami przybył.

W wojsku radość była nadzwyczajna,  
a kaźden z nas zapomniawszy co wycier-  
piał, już pewien był zwycięztwa, a po niem  
tak pożądanego pokoju. Tego samego wie-  
czora generał Jaquinot, dowodzący naszą

brygadą, wysłał mnie we sto koni kawalerji, dla otwarcia komunikacji z główną armją, i dla odebrania od samego cesarza rozkazów dla naszego korpusu.

Ruszyłem więc nocą, a niemając innego przewodnika, jak daleki blask ognisk obozowych, maszerując w cichości dróżyną, trafiłem na małą rzeczkę wpadającą do rzeki Saali. Dowiedziawszy się, iż rzeczona wieś jest obsadzona przez kozaków, a niewiedząc w jakiej są sile, niechcąc komendy mojej na niepewny los narażać, ile, że mi generał zapowiedział, abym się w żadne nie wdawał potyczki, odesłałem napowrót do obozu mój oddział, a sam z dwoma francuzami puściłem się w dalszą drogę.

Przybliżywszy się do innej wsi, równie osadzonej kozakami, przejechaliśmy koło nich, odpowiadając na: kto idzie? swój. Lecz na drodze stał mocny oddział, który dawszy ognia, rzucił się na nas.

Zwróciwszy konie, i oganiając się jak mogliśmy pałaszami od nacierających, dostaliśmy się nakoniec na drugi brzeg rzeki. Wtem słyszemy mocny tentent koni, i niemeśmy rozpoznać mogli kto się do nas zbliża, już byli przy nas, jużemy w nich francuzów poznali.

Był-to bowiem oddział kirasjerów francuskich z oficerem, wysłany ku nam z rozka-

zem podobnym do tego, który mi dano. Połączywszy się z kirasjerami, wróciliśmy do wsi. Placówka dała ognia, a ja porozumiawszy się z oficerem, uradziliśmy przeznaczyć się przez wieś na drugą stronę.

Zakomenderowawszy zatem marsz! marsz! ruszyliśmy do wsi; wtem przebiegłszy przez nią, żadnego z naszych kirasjerów nie ujrzelśmy już za sobą, prócz jednego draba, którego z koniem wpadł do rowu, skąd go z wielką trudnością przyszło nam wydobyć.

Niechcąc zatem błąkać się dalej po nieprzyjacielskich obozach, wróciłem do pułku mojego, co też ze swej strony oficer od kirasjerów uczynił. Pomimo, że nie dopełniłem danych mi rozkazów, powitany zostałem uprzejmie przez mojego generała, który skoro się dowiedział, że komenda bezemnie wróciła, miał mnie za straconego.

Dnia drugiego maja 1813 roku, na polu bitwy po Lützen, zginął marszałek Bessières, dowódca starej gwardji Napoleona. Koło południa cesarz przybył przed nasz korpus. Zsiadłszy z konia, długo patrzył w stronę, kędy ogień działowy trwał bez przerwy.

Wszystkich nas oczy były zwrócone w tę samą stronę: uważaliśmy, że się huk armatni ku nam zbliżał; w tej samej chwili Napoleon rozesałwszy adjutantów w różne strony, siadł na konia i rzucił się w naj-

większy ogień, a za nim ruszyła gwardja, za którą nasz korpus pomaszerował.

Bitwa do późnej nocy trwała.

Plac poboju został przy nas, ale podobna wygrana dziwnie nam się wydała, bo ani zabranych chorągwi nie widzieliśmy, ani niewolników, wszędzie tylko trupy: nie tak bywało w Hiszpanji!

Nazajutrz korpus nasz dostał rozkaz postępować za cofającym się nieprzyjacielem. Maszerując w awangardzie, udało mi się uchwycić oficera pruskiego, którego gdy przedstawiłem generałowi, ten mi rozkazał, po krótkiej rozmowie z jeńcem, stawić go przed samym cesarzem.

Wziąwszy więc z sobą oficera, przezemnie w niewolę wziętego, udałem się do głównej kwatery cesarskiej. Zsiadłszy z konia, zbliżyłem się śmiało do Napoleona, który stojąc ponad rzeką Elbą, rozmawiał z vicekrólem włoskim.

Spojrząwszy cesarz na mnie, rzekł: „twój pułk wraca z Hiszpanji?“ Gdy na te jego słowa, dotknął prawą ręką czapki, „co mi powiesz?“ zapytał. „Najjaśniejszy panie, odpowiedziałem, z rozkazu generała Jaquinot, przyprowadziłem waszej cesarskiej mości, jeńca, ktoreń z obozu nieprzyjacielskiego ciekawe wiadomości przynosi“.

Nuż tedy mój jeńiec opowiadać, to co wie-

dział lub nie wiedział, a ja słowa jego lichą francuzczyzną tłómaczyć. Marszałek dworu zawołał na adjutanta, aby mi przyszedł w pomoc, lecz cesarz kiwnąwszy ręką na znak, że nie potrzeba, dalej mojego tłómaczenia słuchał, i coraz się pytał: „i cóż więcej?”

Czasami zażywał tabakę i przez lornetkę mnie się przypatrywał, jak gdyby żądał abym go o coś prosił.

Tymczasem tyraliery nieprzyjacielskie, stojący po drugiej stronie rzeki, zaczęli do nas strzelać.

Napoleon odwróciwszy się, zawołał: „artylerja gwardji“, i prawie w mgnieniu oka, ziemia od huku dział zadrżała. Marszałek też Duroc zbliżył się do mnie i powiedział po cichu, że mogę już odejść, z czego korzystając, siadłem nakoniec i do obozu swego powróciłem.

Skorom zdał raport z czynności mojemu generałowi, zapytał z radością: „i cóż ci dał cesarz?“ — „Nic.“ — „Jak-to? czyś go o nic nie prosił?“ — „O nic“, odpowiedziałem. — „Toś osioł“, zawołał w gniewie generał. Gdy mu jednak całą rzecz wytłómaczyłem, ścisnął mnie za rękę, i oświadczył, że dobrze zrobił, nie prosząc o nic cesarza.

Przymaszerowawszy do Drezna, musieliśmy rozerwaną jedną arkadę murowanego mostu, drzewem naprawić, a poniżej miasta

postawić most na łyżwach. Pułk nasz marszerujący w awangardzie, co tylko zaczął przechodzić po łyżwowym moście, ten się tak zatapiał, żeśmy prowadząc konie w ręku, po kolana mieli wodę.

Kazano nam zatem cofnąć się, a skorośmy na brzegu stanęli, w kilka minut wezbrana rzeka most zerwała. Trzeba było wracać się, i przez most murowany przechodzić.

Podczas przechodu wojska, Napoleon stał przy przerwie mostu, w najmniejsze wchodząc szczegóły. Prowadzone rekwizyta pułkowe i żywność, kazał wrzucać do wody, furmanki do domów zwracał, kantynierki, powozy, kobiety i powodowe oficerskie konie, byle przez niefrontowego żołnierza prowadzone, kazał puszczać, a żołnierzy do frontu zaganiał. Słowem, wszystkich prawie łajał, i armię uwolnił od bagażów, ciężarów i juków.

Z kolei prowadząc konia w ręku na czele moich ułanów, nadszedłem, kiedy cesarz zobaczywszy, że żołnierz od piechoty z bronią w ręku prowadzi powodowego konia, zawołał: „porzucaj tego konia, i biegaj do kompanji“.

Świeżo rekrut zapytał: „jak-to, cesarzu, ja mam puścić konia mojego kapitana?“

— „Puszczaj, odrzekł cesarz“.

— „A kto, mówił dalej, będzie nami dowodził, skoro kapitan ranami okryty w tyle zostanie?”

Napoleon machnął ręką, i żołnierza z koniem przepuścił.

Przeszedłszy przez most, stanąłem na boku, chcąc się przypatrzeć przechodzącemu wojsku. Za lekką kawalerją, szła baterja artylerji konnej włoskiej, którą dowodził kapitan znany z waleczności swojej, ale tak czarny, dziobaty i obrośnięty, że wyglądał jak djabeł.

Ten stanąwszy przed cesarzem, podczas gdy jego baterja maszerowała: „Najjaśniejszy panie, zawołał, daj mi krzyż, bom na niego zasłużył”.

— A jaki? zapytał césarz.—Korony włoskiej, odpowiedział.

— „Bertier, odezwał się Napoleon, zapisz go do krzyża”.

Tymczasem po artylerji przechodziła piechota, a czarny kapitan ciągle stał przy cesarzu i na niego patrzył. „Czego chcesz jeszcze?” zapytał cesarz.

— „Chcę się tobie przypatrzeć, odpowiedział, bo ciebie bardzo kocham”.

Napoleon poklepał go po ramieniu, poczem uradowany kapitan, ruszył za swoją komendą.

z Drezna poszliśmy do Bautzen, gdzie sto-



czoną została owa bitwa, sławna w dziejach wojennych. W wigilię bitwy pod Bautzen, korpus nasz stanął obozem pod miastem. Gdy stał na placówce na drodze wiodącej pod samem okiem nieprzyjacielskiem, nad zachodem słońca przybiegł adjutant cesarski, i dał rozkaz, ażeby jaknajwiększa cichość zachowaną była.

Wtem nadjechał sam cesarz z wice-królem włoskim.

Gdy Napoleon zapytał mnie: „co tu widać?” wskazałem na stanowiska nieprzyjacielskie i szanice silnie działami obsadzone. Cesarz zsiadłszy z konia, oparł perspektywę na mojem ramieniu, długo się przypatrywał pozycji nieprzyjacielskiej, poczem siadł na konia i kazał mi jechać przed sobą.

Objechawszy łańcuch porozstawianych sztydwachów na straconych posterunkach, wrócił na moje stanowisko, skąd z oczekującym na siebie wice-królem włoskim, do głównej kwatery odjechał.

Nazajutrz mocna kanonada zapowiedziała rozpoczęcie bitwy, która przez trzy dni trwała. Opisywać ją nie jest moim zamiarem, a siły moje są za słabe do oddania tak wielkiego przedmiotu.

Stojąc w szeregach pułku mojego, to tylko wiem, co z punktu na którym stałem

własnymi oczyma widziałem, a to com sły-  
szał już się stało własnością dziejów.

W kilka dni po bitwie pod Bautzen, w a-  
wangardzie stojąc pod lasem, na prawej  
stronie mieliśmy wioskę.

Skoro linja cała flankierów posunęła się  
naprzód, chmara kozaków ruszyła ze wsi ku  
mnie.

Komenda moja z samej ruchawki złożona,  
natychmiast drapnęła, zostało mi się tylko  
kilkunastu ułanów z którymi otoczony zosta-  
łem.

Po dość długiej utarczce, pchnięty dzidą  
pod prawą rękę w piersi, spadłem z konia,  
i już byłbym pewnie zabity, gdyby mi nie  
był przybył w pomoc kaprał od huzarów  
Merzburgskich; ten z mojami ułanami odpe-  
dziwszy kozaków, podprowadził mi moją  
kłacz meklemburską, na którą siadłszy, z  
niebezpieczeństwa się wydobyłem.

Rana też moja była bardzo lekka, gdyż  
ostrze od lancy uwieźło w srebrnym galonie  
od ładownicy.

Po bitwie pod Bautzen, cała nasza armja  
dążyła do Wrocławia. Korpus wice-króla  
włoskiego trzymał nasze prawe skrzydło,  
już byliśmy o jeden dzień pochodu od stoli-  
cy Szlązka, gdy nieprzyjaciel zrobiwszy rap-  
tem zmianę frontu przez lewo, znikł nam  
zupełnie z oczów.

Wtem, na naszym prawym boku pokazały nam się wielkie masy wojsk, co nas przekonało, żeśmy oskrzydleni zostali. Spostrzegłszy ten obrót generał Latour-Mauburg, zostawiwszy za sobą znaczny oddział kawalerji i osadziwszy wieś na prawem naszym skrzydle leżącą, piechotą i artylerją, z resztą korpusu ruszył w dalszą drogę.

Nazajutrz po dwóch śmiałych atakach, ruszyliśmy za korpusem.

Maszerując w arjergardzie, spostrzegłem kilku wojskowych jadących ku mnie z trębaczem od strony naszej głównej kwatery; skorom ujrzał białą chustkę powiewającą, wziąłem mojego trębacza, kilku ułanów, i posunąłem się ku nim; wnet też poznałem generałów rosyjskiego i pruskiego, których oficer od piechoty francuskiej, z głównej kwatery Napoleona, odprowadzał aż do ich obozu. Nazajutrz oznajmiono wojsku, iż zawieszenie broni zawarte zostało.

Wkrótce przyszedł rozkaz, ażeby z komendą ułanów dążył przez Drezno do miasta Frejburga, do naszego pułku świeżo przybyłego z Hiszpanji. Połączywszy się z pułkiem, przedstawiłem pułkownikowi Tańskiemu całą moją komendę. Pułkownik uradowany zapytał, czemu nie awansuję, dodając, że starsi oficerowie wiele mu dobrego o mnie mówili.

Dnia następnego kazał mi przyjść z Rybałtowskim na obiad, po którym poprowadził nas do generała Jaquinot, z którym udaliśmy się do generała Pojolle, komenderującego korpusem kawaleryi. Przedstawionych lub nie przez dowódców moich korpusnemu generałowi, zapytany przez niego zostałem: „jak dawno jestem oficerem?“

— „Cztery lata“ odpowiedziałem.

— „Jakie odbyłeś kampanje?“

— „Pruską, hiszpańską i teraźniejszą.“

— „Za co krzyż dostałeś?“

— „Za batalją pod Albuhera.“

„Wiele razy ranny?“

— „Cztery razy.“

Generał ruszywszy ramionami: „to jest rzecz szczególna“ zawołał, „iż wasz pułk okryty sławą, po tylu świetnych zwycięztwach, tyle niesprawiedliwości doznał!“

Długo jeszcze pułkownik Tański rozmawiał z generałem, wyliczając mu wszystko co tylko pułk ucierpiał, wiele pominięto nagród, wiele zapomiano zasług. „Obaczmy co można będzie zrobić, przerwał pułkownikowi generał, a tymczasem proszę rozkazem dziennym zawiadomić, że ten pan, wskazując na mnie, postępuje na porucznika.“

I tak więc, 19 czerwca 1813 roku, zostałem porucznikiem.

W czasie zawieszenia broni, książę Józef

Poniatowski przyprowadził z Krakowa do głównej armji, korpus księstwa Warszawskiego.

Długo spodziewany i żądany pokój gdy nie nastąpił, na nowo rozpoczęły się kroki nieprzyjacielskie. Pierwsza też nasza potyczka była pod miasteczkiem Marienberg na granicy czeskiej z austriakami. Poczem pułk nasz przeznaczonym został do dywizji generała Gérard w korpusie 14-tym, którym dowodził marszałek St. Cyr.

Cesarz Napoleon szukając, jak się zdaje, sposobności stoczenia walnej bitwy, wszelkie siły koncentrował w okolicach Drezna.

Kiedy korpus marszałka St. Cyr, przymaszerował do tego miasta, nasz pułk postawiono nad Elbą pod murami, dla zasłony mostu.

Tymczasem Drezno przemagającemi siłami szturmowane przez dni kilka, pomimo dzielnego oporu, nie wiem czy by się dłużej opierać było mogło, gdyby sam cesarz nie był z gwardjami pospieszył, i nie stoczył walnej bitwy dnia 26 sierpnia.

Na parę dni przed bitwą, około południa, przybył z lewego skrzydła przed front naszego pułku, król neapolitański Murat, z jedynym tylko adjutantem. Ubrany jak rycerz średnich wieków, młody, hoży, przystojny, z długimi włosami spadającymi w pierście-

nie, na barczyście ramiona, w niebieskiej haftowanej złotem katance, z mieczem prostym zawieszonym na wstędze, z kapeluszem osłoniętym różnobarwnymi piórami, zapytał: „czy to jest pułk ułanów polskich?” potem otoczony przez oficerów, każdego uprzejmie powitał, a z pułkownikiem Tańskim dosyć długo rozmawiał.

Był u nas w pułku adjutantem majorem kapitan Piotr Doliński, którego pułkownik przeznaczył na dowódcę 3-ciej kampanji, w której ja się liczyłem. Gdy po odjeździe króla Murata, kazano nam zsiąść z koni, i każdy wrócił do obozu, częstowałem mojego nowego kapitana czem Bóg dał, wtem przed nami z ziemi, mysz się pokazała; ujrzawszy ją Doliński zbladł i zawołał: „widzisz tę mysz? ona mi śmierć przepowiada.” Co usłyszawszy, mysz odstraszyłem, a dziurę z której wyszła nogą zadeptałem.

Ale Doliński ciągle w to samo miejsce patrzył i obaczył, jak powtórnie mysz wychodzi i ku niemu idzie; zerwał się z miejsca i krzyknął: „a co? jeszcze nie wierzysz, że ja dzisiaj zginę?”. Poraz drugi dziurę nogą zatknawszy, nalałem kapitanowi kielich wina, którego gdy spełniał, poraz trzeci mysz z dziury wylazła; w tej samej chwili odebraliśmy rozkaz wystąpienia, a skoro się

pułk sformował, pociągnęliśmy ku lewemu skrzydłu naszej armji.

Tam zastaliśmy króla Murata, który rozkazał pułkowi stanąć na linii i wysłać flankierów. Porucznik Zawadzki wyskoczył z plutonem, i ogień na całej linii się rozpoczął. Wtem przybiega do mnie Doliński i pyta, czy nie mam araku? Na moją odpowiedź że nie mam, ale wnet kantynierka z obozu przywiezie, odjechał. P'o niejakim czasie, przybiegł powtórnie; dałem mu butelkę z arakiem którą do połowy wypróżnił, co mnie mocno zadziwiło; wiedziałem bowiem, że trunków z wielkiem umiarkowaniem używał; odwrócił potem konia i odjeżdżając: „bywaj zdrów“ zawołał. Te były jego ostatnie słowa. Artylerja nieprzyjacielska grać zaczęła, a pułk nasz mając na swoim czele króla Murata, pociągnął na lewo.

Przejeżdżając przez pole, ujrzeliśmy leżące ciało Piotra Dolińskiego, już obnażone od kuli armatniej zabity, trzymał jeszcze pałasz w ręku.

Król neapolitański, przejeżdżając obok letniego pałacu króla saskiego, rozkazał zostawić jeden szwadron w asekuracji piechoty, której obrona tego pałacu poruczoną była

Pozostał zatem mój szwadron, którym dowodził książę Woroniecki świeżo do pułku

z gwardji przybyły. Stanęliśmy frontem pod laskiem, „Gros Garten“ zwanym. Już piechota francuska silnie nacierana, rzeczona stanowisko opuścić miała, gdy na czele mojego plutonu poszedłem do szarży.

Przesadziwszy rów szeroki, gradem kul ob-sypany zostałem; tą nagłą jednak dywersją, atak nieprzyjacielski, na chwilę wstrzyma-łem. Wtem, podprowadzona baterja artyler-ji, zaczęła mury gruchotać,

W największym ogniu stojąc, dostałem kulą karabinową w brzuch, ale na szczęście kula uderzyła w zegarek złoty, roztrzaskała go na drobne kawałki, i lekką mi tylko ra-nę zrobiła. Pomimo tego, spadłszy z konia, zemdlałem. Przysłano nam też rozkaz opu-szczenia tej pozycji, do utrzymania niepo-dobnej. Zegarek ten który mi życie ocalił, zachowałem; mam go dotąd, i chowam na pamiątkę dla dzieci.

Nazajutrz po bitwie pod Dreznem, kiedy nasz korpus maszerował, widzieliśmy na najwyższym wzgórzu Napoleona siedzącego na miedzy, i na kolanie piszącego. Wnet potem spostrzegliśmy korpus generała Van-damme przyspieszonym krokiem idący; opó-zniwszy się o dwadzieścia cztery godzin, po-spieszał, a w dni kilka popadłszy w górach Czeskich pod Kulm w zasadzkę, zupełnie zniesionym został.



Vandamme, straciwszy armaty, bagaże, amunicję, sam w niewolę się dostał. Po batalji pod Dreznem, cesarz Napoleon pospieszył na drugi brzeg Elby, w pomoc marszałkowi Macdonald, który ściśnięty trzema nieprzyjacielskimi korpusami, w krytycznem bardzo był położeniu.

Korpus nasz został w okolicy Drezna, a mającym to miasto za oparcie, z całej armji było nam najlepiej.

Gdy drudzy ustawicznymi deszczami głodem, tak, że nieraz zdechłych koni mięso, było dla nich specjałem, my walcząc przez dzień cały, wieczorem wróciliśmy do miasta, gdzie nas kolacja i dobra butelka wina czekała.

W jednej operacji wojennej, nakazano na wszystkich punktach przeciw nieprzyjaciela, ażeby go zmusić do przyjęcia bitwy; lecz ten cofając się ciągle, tę zachowywał przeczorność, iż główne siły swoje maskował.

Mała rzeczka zakryta krzakami, oddzielała obie strony. Awangardę prowadził kapitan Jagniński, ze swoją kompanią i kompanią strzelców konnych włoskich, pod jego dowództwem będącą.

Gdy król Neapolitański rozkazał wzmocnić komendę flankierami, pułkownik Tański kazał mi z moją kompanią ruszyć za niemi. Wybiegłszy na wzgórze, obaczyłem za wsią

kozaków, ale prócz nich, nic więcej nie było widać. Gdyśmy jednak zbliżyli się do rzeczki, ukryci strzelcy piesi zaczęli dawać do nas ognia.

Wtem porucznik Jan Stadnicki, porwawszy kompanię włochów, ruszył przez wieś gulopem.

Ja też osądziwszy właściwem zrobić toż samo, już za nim iść miałem, kiedy kapitan Jagniński rozgniewany na Stadnickiego, że mu porwał bez jego wiedzy kompanię Włochów, zawołał na mnie: „nie każę się ruszać“; odpowiedziałem, że nie jestem pod jego rozkazami, i naprzód ruszyłem.

Za wsią, widziałem, jak Stadnicki formuje kompanię i przez górę rusza; co gdy z drugiej strony wsi uczyniłem, po niejakiem czasie przybiega do mnie Stadnicki z oficerami donosząc, iż napadniętemu, przez przemagającą siłę otoczonemu, całą kompanię do niewoli zabrano, a sam z oficerami ledwo przedrzeć się zdołał.

Wtem rozkaz cofnięcia się odebrawszy, kapitan Jagniński aresztował mnie i Stadnickiego, i pułkownikowi odmeldował.

Stadnicki mało na to zważając, sprosił wszystkich swoich kolegów, którym całe zdarzenie opowiadając, sutą nam ucztę sprawił. Gdy pułkownik odebrał rozkaz, aby zaufanego oficera z depeszami wysłał do za-

łogi Königsteinu i Pirny z tem nadmienieniem, że jeżeli dobrze się sprawi z polecenia sobie danego, otrzyma jedną rangę wyżej, do tej misji wyznaczony zostałem; lecz na oświadczenie Jagnińskiego, że jestem nieuległy starszym, i że pomimo tego, zem był aresztowany, poszedłem na ucztę do Stadnickiego, wysłano więc Skarzyńskiego na moje miejsce, który bez przeszkody do fortecy dojechał, i wróciwszy został kapitanem, Skarzyński zastał w Königstein, mocno ранego Józefa Bogusławskiego, i zagrożonego utratą prawej, ręki już podówczas kapitana w 8-ym pułku szwoleżerów.

Czternasty korpus marszałka St. Cyr. po raz ostatni spędzony do miesiąca października 1813 roku, w oblężeniu był trzymany. Częste wycieczki zasilają z początku garnizon żywnością, ale po bitwie pod Lipskiem i Hanau, bardziej ściśniętym, dopiero wtedy brak wszystkiego uczuć nam się dawał,

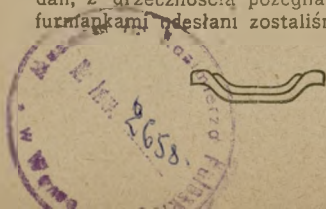
W jednej z wycieczek, gdyśmy z mocnym oddziałem ku Pirnie maszerowali, udało mi się z kompanią zabrać w niewolę bataljon jeńców nieprzyjacielskich. Właśnie gdym z moją kompanią szarżę wykonał, nadjechał generał Jaquinot, i uradowany z tego wypadku, z najchlubniejszymi pochwałami wspominał o mnie marszałkowi; ten mianował

mnie kapitanem, i do złotego krzyża obiecał cesarzowi przedstawić.

Marszałek St. Cyr kazał zrobić rewizję żywności; i gdy się okazało, że zapasy nasze są nader szczupłe, uważając, że uporczywe obleżenie, mogłoby narazić stolicę króla Saskiego na zniszczenie, postanowił wyjść z garnizonem z miasta, a maszerując ku wielkiej armji, połączyć się po drodze z załogami będącemi w Torgau, w Magdeburgu i Hamburgu. Wybraliśmy się przeto w marsz.

Niedługo jednak trwała nasza wyprawa; przemagającemi siłami zmuszeni do odwrotu, wróciliśmy do Drezna, a gdyśmy już nie mogli dłużej się wtem mieście utrzymać, stanęła kapitulacja, mocą której, zostaliśmy wysłani do Węgier jako jeńcy wojenni,

Nasza niewola, trwająca przez pół roku na Węgrach, była prawdziwym dla nas wypoczynkiem po znojach. Wracając do kraju, w Prezburgu, składaliśmy palatynowi podziękowanie za gościnność jakiej doznaliśmy w Węgrzech; przyjęci przez niego uprzejmie, badani czy nie mamy jakich osobistych żądań, z grzecznością pożegnani, wygodnemi furmankami odesłani zostaliśmy aż do domu.

















\*KSIĘGARNIA\*

ANTYKWARIAT



600,-



X 064578 F X

XXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXX

